

Co jest za tym płotem? Wykopki w Gdańsku
str. 4, 5

Robotnicy '96 - reportaż ze Stoczni
Gdańskiej str. 6, 7

Szczyt prezydentów - Łańcut od kuchni
str. 16, 17

Tańcząca z bykami - pierwsza kobieta
torreador str. 18

Trzy strony krzyżówek plus hobby - wkładka
do wyjęcia!

DZIENNIK BAŁTYK
magazyn

Rejsy



- Fotografują się
ze mną jak
z wypchanym
niedźwiedziem
- żartuje
Czesław Miłosz

**Z Miłoszem
w Sopocie
- str. 6,7**

wielkie SPADANIE

PEŁNE UBEZPIECZENIE W PZU ZA 2% WARTOŚCI + ZIELONA KARTA GRATIS.

Escort: 35.500.- zł. Odbiór natychmiastowy.

*1 DM=1.75 PLN.



BIG Autohandel

Autoryzowany Dealer

Salon Sprzedaży Samochodów i Części, Gdańsk, ul. Rajska 12, tel. 31 60 21

Gdańsk, ul. Czarny Dwór 12, tel.: (058) 53 36 43, fax (058) 53 05 21

Hurtownia Części – Dostawy bezpośrednio z fabryki

Samochody Używane, ul. Grunwaldzka 258 (róg Abrahama) tel. 0-90 50 16 10



Uwaga! Wielka sezonowa obniżka cen ogłoszeń drobnych

**-80% szukam
pracy**

**20% turystyka
młodzieżowa**

**-80%
auto-moto**

**-80%
nieruchomości**

Nationale-Nederlanden



Mamy zaszczyt powiadomić Państwa,
że jesteśmy

Oficjalnym Sponsorem

Międzynarodowego Festiwalu
Muzyki Współczesnej
Warszawska Jesień 1996



Towarzystwo Ubezpieczeń na Życie
Nationale-Nederlanden Polska SA
oferuje Państwu szeroki wybór
indywidualnych ubezpieczeń na życie

Nationale-Nederlanden
Oddział w Gdańsku:
tel. (0-58) 31-41-61, 31-12-31, 31-14-32
fax (0-58) 31-45-12
ul. Długi Targ 39/40, 80-830 Gdańsk

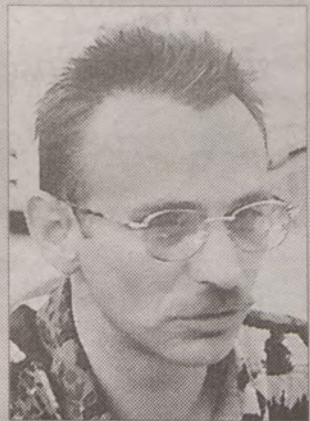
Jesteśmy częścią

ING GROUP

DZIENNIK BAŁTYCKI

o tym
się mówi

Czy w zakładach pracy są wtyczki UOP?



- Jestem w pełni przekonany, że są. Za przykład może posłużyć chociażby nasza ostatnia manifestacja, która odbyła się miesiąc temu. Pojawili się ludzie, którzy robili zdjęcia, zadawali pytania. Nie byli to jednak dziennikarze. Natomiast nie sądzę, aby któryś z pracujących ze mną kolegów był jednocześnie pracownikiem lub współpracownikiem UOP. Czasy się zmieniły. Teraz w grę wchodzi szantaż. Odszukuje się stare kartoteki, namawia, grozi.

(mig)

Jerzy Borowczak, przewodniczący „S” w Stoczni Gdańskiej

Fot. Maciej Kosycarz



- Oczywiście, że nie. Nic na to nie wskazuje. U nas, w firmie, jest tak specyficzne środowisko, że ewentualnej wtyczce trudno byłoby się zamaskować. Nigdy nie czułam się przez kogoś obserwowana, choć - z drugiej strony - takiej możliwości w ogóle w nie brałam pod uwagę...

(rw)

Maryla Hempowicz, Nadbałtyckie Centrum Kultury w Gdańsku

Fot. Maciej Kostun

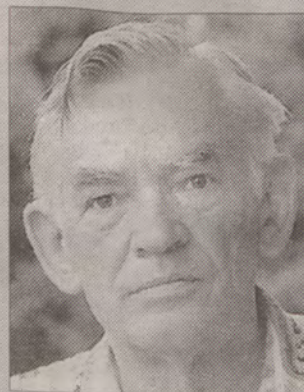


Przed rokiem 1990 każda firma miała swojego opiekuna. Te czasy już za nami. Firma pozostała państwowa, ale ja mam wolną rękę w działaniu. Nie ma odgórnych nacisków. Dlatego mam głębokie przeświadczenie, że osoba na usługach UOP nie pracuje w naszych zakładach. Świadczy o tym również dobra atmosfera.

(Mas)

Gwidon Wasielewski, dyrektor Zakładów Przemysłu Pasmanteryjnego „Pasanił” w Gdańsku

Fot. Maciej Kostun



- Nie sądzę, by działał u nas funkcjonariusz UOP. Pracuję w porcie od 40 lat i nigdy się z czymś podobnym nie spotkałem. Zresztą, jeśli nawet, nie byłoby powodu do paniki. W moim przekonaniu nie oznaczałoby to powrotu do komunistycznych metod. MSW powinno wiedzieć, co dzieje się w ważnych dla kraju zakładach pracy.

(af)

Henryk Wojtuś, zakładowy inspektor pracy w Morskim Porcie Handlowym Gdynia S.A.

Fot. Maciej Kostun

magazyn Rejsy

14 czerwca 1996

Od redaktora



W sobotę Mick Hucknall, lider zespołu Simply Red, śpiewał na ceremonii otwarcia mistrzostw Europy w piłce nożnej dla miliardowej publiczności. W niedzielę wystąpił na warszawskim Torwarze. Dziś jest u nas. Dla Publiczności „Dziennika”.

Oczywiście, milej byłoby oglądać piłkarskie mistrzostwa, gdyby grali w nich Polacy, jak niegdyś bywało. Gdyby grali jak dawniej. Milej byłoby zamykać sezon piłkarski w kraju, gdyby... No właśnie. Lechia/Olimpia, Polonia i Bałtyk spadły o klasę niżej i oby się na tym skończyło. „Wielkiemu spadaniu” trójmiejskich klubów piłkarskich poświęcamy dziś dużo uwagi. Dlaczego tak się stało? - pytamy. Kto zawinił? Kibice działaczom szykują taczki.

Zmartwienie to chyba nie tylko dla kibiców sportowych. Gdańsk, miast się dźwigać i prostować w obliczu tysiąclecia, stronami trochę kapcanieje. Wielkie wykopki pod dworcem - zaglądamy, co się dzieje za parkanem. Dzieje się ciekawie. Co się dzieje nie opodal, za stoczniową bramą? Dzieje się nieciekawie. Stoczniowcy też szykują taczki. A może i coś więcej...

Zajrzeliśmy ponadto do Łańcuta, na szczyt prezydentów, do Cleveland (USA), towarzyszyliśmy Miłoszowi w Sopocie, stestowaliśmy Citroena ZX Miami, zachęcamy do wycieczek... I oczywiście do lektury „Rejsów”!

Tadeusz Skutnik

KOLEBKA '96



Rys. Henryk Sówka

HR/Aunka

Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik). Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM. Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz, Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31 79 26; 31 50 41 w. 350, 351

Tajemnica kilkunastu skrzyń

Nasze
rozmowy

Z profesorem
Wolfgangiem Deurerem
rozmawia
Tomasz Zajac



Prof. dr inż. Wolfgang Deurer jest niemieckim architektem, mieszka i pracuje w Wesel (Nadrenia Westfalia). Jego związki z Polską i Gdańskiem datują się od lat 70. Dzięki dokumentacji, ocalonej przez jego ojca, możliwa była m.in. rekonstrukcja unikatowego pieca we wnętrzu Dworu Artusa oraz innych gdańskich zabytków. W 1981 roku profesor został uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Obecnie pracuje nad niskonakładową publikacją w języku niemieckim i polskim, traktującą o zaginionych zabytkach naszego miasta.

Fot. Robert Kwiatek

- Przez trzydzieści lat nie ujawniał pan niezwyklej tajemnicy, związanej z naszym miastem. Jak doszło do tego, że bezcenna zawartość kilkunastu skrzyń z Gdańska znalazła się w pańskim domu w Nadrenii Westfalii?

- Wyjaśnienie zagadki znajdziemy, cofając się do roku 1941. Ówczesny lokalny rząd pruski, a ściślej - Ministerstwo Finansów i Sztuki, zleciło wówczas pewnemu „wędrownemu architektowi”, budowniczemu katedr i kościołów z Koblenz, niezwykle zadanie. Jacob Deurer - mój ojciec - miał zinventoryzować, sfotografować i opisać kilkaset gdańskich zabytków architektury: kościoły, pałace, pomniki i kamienice. Pracę wykonał bardzo sumiennie. Miesiącami przemierzał gdańskie ulice z aparatem fotograficznym i szkicownikami. W ten sposób powstała zdjęciowa, teletyryczna i rysunkowa dokumentacja zabytków tysiącletniego dzisiaj miasta. W 1945 roku wywieziono je na pokładzie okrętu wojennego z oblężonego przez Rosjan Gdańska. Do naszych czasów przetrwało kilkanaście pudeł, które leżały przez lata w piwnicy naszego domu. Ojciec zmarł wkrótce po wojnie i ja, świeżo upieczony architekt, musiałem poświęcić pierwsze dziesięć lat swego życia zawodowego rodzinnemu biur projektowemu. Gdy na początku lat sześćdziesiątych odkryłem w piwnicy zbiory ojca, zrozumiałem, jaki skarb otrzymałem w spadku.

- Co postanowił pan zrobić z dziełem jego życia?

- Najpierw uporządkowałem i skatalogowałem zbiory. Doszedłem też do wniosku, że powinny one trafić do rąk moich polskich kolegów, architektów z Gdańska. Okazało się jednak, że... nikt nie chciał ich przyjąć. To było w latach siedemdziesiątych. Ówczesni urzędnicy byli prawdopodobnie pełni podejrzenia w stosunku do mnie. Przyjeżdża jakiś Niemiec i za darmo chce przekazać dokumentację gdańskich zabytków. Co się za tym kryje?

Po kilku latach starań i zabiegów przypadkowo poznałem profesora Lorentza z Muzeum Narodowego w Warszawie i znakomitego polskiego architekta, profesora Zachwatowicza. Obaj panowie docenili znaczenie materiału, jaki chciałem podarować Polsce. Jedynym moim warunkiem było, aby zbiory mojego oj-

ca zostały przekazane w sposób oficjalny. W końcu pierwsze lody zostały przełamane i w 1978 roku zostałem zaproszony do Gdańska. W pięknym wnętrzu Sali Czerwonej Ratusza Głównego Miasta nastąpiło uroczyste przejęcie dokumentacji przez ówczesne władze miasta. Od tego czasu datuje się też moja współpraca z Wydziałem Architektury Politechniki Gdańskiej, na której udało mi się, jako pierwszemu obywatelowi Niemiec zachodnich, otworzyć w Polsce przewód doktorski i zdobyć tytuł naukowy. Nie sposób pominąć tutaj wielkiej pomocy Kościoła i osobistego zaangażowania księdza biskupa Tadeusza Gocłowskiego.

- Ile udało się panu opisać nieistniejących już dzisiaj gdańskich budowli sakralnych?

- Około pięćdziesięciu. Są wśród nich małe kościoły, klasztory i kaplice. Materiał, który zebrał mój ojciec, a ja staram się opracowywać, stanowi jedyny po nich ślad. Z tego co wiem, nikt dotąd nie zajmował się tym tematem. Ostatnie lata poświęciłem dziesięciu istniejącym starogdańskim świątyniom i pięćdziesięciu innym, które nigdy już nie powrócą do krajobrazu miasta.

- Dlaczego uważa pan, że nie będą odbudowane?

- W większości przypadków na ich miejscu stoją już nowe, powojenne domy. Dzisiaj zresztą rzadko buduje się małe świątynie. Przeważają większe kompleksy sakralne z funkcją mieszkalną i edukacyjną.

- Zapewne interesował się pan również ideą odbudowy kościoła św. Jana. Nasza gazeta ściśle współpracuje z komitetem odbudowy tej świątyni. Jaką funkcję, pańskim zda-

niem, powinien pełnić kościół św. Jana po jego odrestaurowaniu i odbudowie?

- Od dwudziestu lat toczy się na ten temat dyskusja i pomysłów było wiele, łącznie z dość egzotyczną ideą zorganizowania tam muzeum scenografii teatralnych. Sądzę, że najbardziej zgodny z duchem czasu jest przyjęty obecnie pomysł urządzenia tam swego rodzaju symultanicznego centrum religii chrześcijańskich. Już w źródłach pisanych z siedemnastego wieku znajdujemy wzmianki o polskich, niemieckich, francuskich, a nawet angielskich kościołach w Gdańsku. Tak więc tradycja ekumeniczna tego miasta jest długa i bogata. Jedno jest pewne - budowla ta musi pełnić funkcję sakralną. Inny pomysł, na przykład przekształcenie w salę koncertową, odpada choćby z powodu nie najlepszej akustyki we wnętrzu kościoła.

- Stary Gdańsk to nie tylko wspaniałe kościoły, ale także zabytkowe budowle portowe - spichlerze. Od lat

pozostaje nie rozwiązany problem zagospodarowania Wyspy Spichrzów w samym centrum miasta...

- To, co dotychczas tam zbudowano i co nazywa się teraz architekturą dopasowującą się do starej zabudowy, jest straszne. Jednym słowem można to określić jako disneyland. Widzę tylko dwie możliwości. Zbudować wyspę nowoczesnymi budowlami lub zrekonstruować stare budynki. Wyspa to nie jest już jednak problem koncepcji, tylko jej realizacji. Każda idea będzie lepsza od tego, co już istnieje, obojętne tylko była konsekwentnie realizowana.

Muszę przy tym przyznać, że pozostała część Starówki została bardzo rozsądnie odbudowana i polscy budowniczowie wykonali tutaj wspaniałą robotę. Za kilkaset lat wycieczki nadal będą przyjeżdżały by zwiedzić odbudowany przez was Długi Targ, choć pewnie nikt nie będzie jeździł oglądać falowców na Przymorzu.

- Dziękuję za rozmowę.

Archeolog
Borcowski
schodzi po
drabinie.
Opuszcza
się w przeszłość.
Co szczebel - lat
kilkadziesiąt. Po
drodze, matym
przyrzędem
podskrobuje
ziemię. Tu może
będą kule. To
podwale
przecież.

Gdańsk, czerwiec 1996. Podwale Grodzkie. Naprzeciw Dworca Głównego stoi wysoki płot. Wzdłuż płotu spieszą się ludzie. Co rusz jednak ktoś przystaje w biegu. Z okiem przy wąskim prześwicie, patrzy tam, gdzie jeszcze niedawno, przed byłym hotelem „Monopol” zielenił się skwer. Teraz roślin już nie ma; w miejscu drzew, klombów i trawników zieje wielki wykop. W wykopie czerwienią się ścianki. Po latach znów oświeła je słońce. Mur, zakamarki, gładź posadzek. Schody: osiem stopni donikąd. I kłębią się tu ludzie, tak jak musieli się uwijać ci, co cegły te kładli.

- Znaleźliśmy tu niewiele - inspektor Zbigniew Borcowski nie jest zachwycony. W jednym z pomieszczeń „Monopolu” archeolodzy mają podręczny magazyn. W trofea ubogi. Aluminiowe łyżki, skorupy talerzy. Oraz... bateria flaszek

Kaszubski Targ łączył się z Podwalem Grodzkim. Był przedłużeniem Gnilnej. Dziś tej ulicy już nie ma, chociaż po wojnie, w latach 40., istniała jako Kaszubska. Przeciął ją „Monopol”. Jest za to Karmelińska, choć o jej istnieniu nie wie prawie nikt. Przed wojną samodzielna - dziś przedłużenie Heweliusza. I to jej zaszkodziło: formalnie nikt przy niej nie mieszka. Nawet gmach z napisem „Olech” ma adres przy ul. Heweliusza właśnie. Będzie z 200 metrów...



Fot. Janusz Czerwiński

Młody Franz Binder? Prędzej jego ojciec...

Przed „jedenastką” - tramwaj. A jakże, elektryczny. Naprzeciw „dwunastki” natomiast „parking” dla powozów. Obiektów nie objął gmachu dworca. A ten gmach już stoi. Od czterech lat mniej więcej. Kamienice - też nowe.

Szczablami w przeszłość

Gdańsk, 1996. - One są z końca XIX wieku - archeolog Borowski schodzi po drabinie. Opuszcza się w przeszłość. Co szczebel - lat kilkadziesiąt. Po drodze, małym przyrządem podskrobuje ziemię. Tu może będą kule. To podwałe przecież.

Danzig, 1890. Fotograf, Gustaw Thomas, stoi na skarpie. Ostatni raz może chłonie taki widok. Za plecami ma przyszłą ulicę 3 Maja. A ze skarpy zejść można długimi schodami z drewna. Schody są kręte i kryte dachem. Ochrczono je: „trąba słonia” (czyżby przetrwała pół wieku w nazwie przyszłej knajpy?). Kto zejdzie schodami na dół - jest już przy wagonach. Ot, cały ówczesny dworzec.

A dalej jest fosa. Potężne, ziemne wały otulają jakby miasto. Poczucie bezpieczeństwa jest już jednak złudne. Te wały, to przeżytek, nie przetrwają już długo. Więc się je zniweluje, ziemię zepchnie do fosy. Ku rozpaczy przyszłych badaczy przemieszają się jej warstwy. Więc inspektor Borowski drapnie je tylko w przełocie.

- Jestem w wieku XV! - krzyknie z dna wielkiej dziury. Gdańsk, 1996. Zbigniew Borowski stoi już na dnie. Gdzieś tam, może głębiej, kończyć się powinna warstwa nawieziona (skąd? - ktoś to wie...) ziemi. Tam na archeologów czekają, być może, najciekawsze odkrycia. Bo zanim powstały wały, były w tym miejscu fortyfikacje z cegły. Tak, do XVII wieku stały tu baszty i mury, z których nie zachowało się do dziś już nic.

Chyba, że odłoni coś ziemi przy Podwalu Grodzkim...

Janusz Czerwiński

PS. Dziękuję doc. dr Andrzejowi Januszajtisowi za cenną pomoc faktograficzną.

Drabina czasu

o archaicznych kształtach. Jest też parę monet. Rosyjskich, z lat 40. To wiele tłumaczy: z piwnic wyniesiono to, co się wynieść dało. Potem odpalono dynamit. Andrzej Franciszkowski wskazuje dziurę w murze, gdzie pozostały jeszcze kable od ładunków. Te domy, tuż po wojnie, ciągle jeszcze stały. Jak bardzo zniszczone? Tu zdania się różnią.

Trzy kamienice

Danzig, rok 1942, Stadtgraben. Między Karmelitergasse i Kaschubischer Markt - niewielki kwartał domów. Od frontu, naprzeciw dworca, stoją trzy kamienice.

Pod „dwunastką” - róg Kaszubskiego Targu - pensjonat, własność: P. Liegmanna. A że kamienica spora - są tu także inni. Ostdeutsche Privat Bank ma tu swą Kasę Depozytową przy Dworcu Głównym. Restaurację „Pod Słoniem” pro-

wadzi niejaki Karl Mampe. I jest jeszcze miejsce dla... Biura Budowy Autostrad.

Dom numer jedenaście należy do miasta. Dzierżawi go Max Bayer. Prowadzi tu hotel - przecież dworzec blisko. Jest jeszcze „O. Steuer - fabryka konfitur”. Mieszka tylko, czy może gdzieś w podwórku te swoje słodkości warzy?

W „dziesiątce” znów pensjonat; ten należy do Marii Noll. Oraz Franz Binder - „Cukiernia i Kawiarnia”. „Dziesiątka” jest narożna. To róg Karmelickiej. Naprzeciw stoi okazały hotel „Reichshof”. Stać będzie długo po wojnie, w nim speluna „Pod Orłem”. A po niej bar mleczny.

Kolorowana pocztówka firmy Dr Trinkler Co.

Danzig, 1904. Na rogu Stadtgraben i Karmelitergasse - pod dziesiątką - duży, czytelny szyld: „Conditorei - Cafe”.

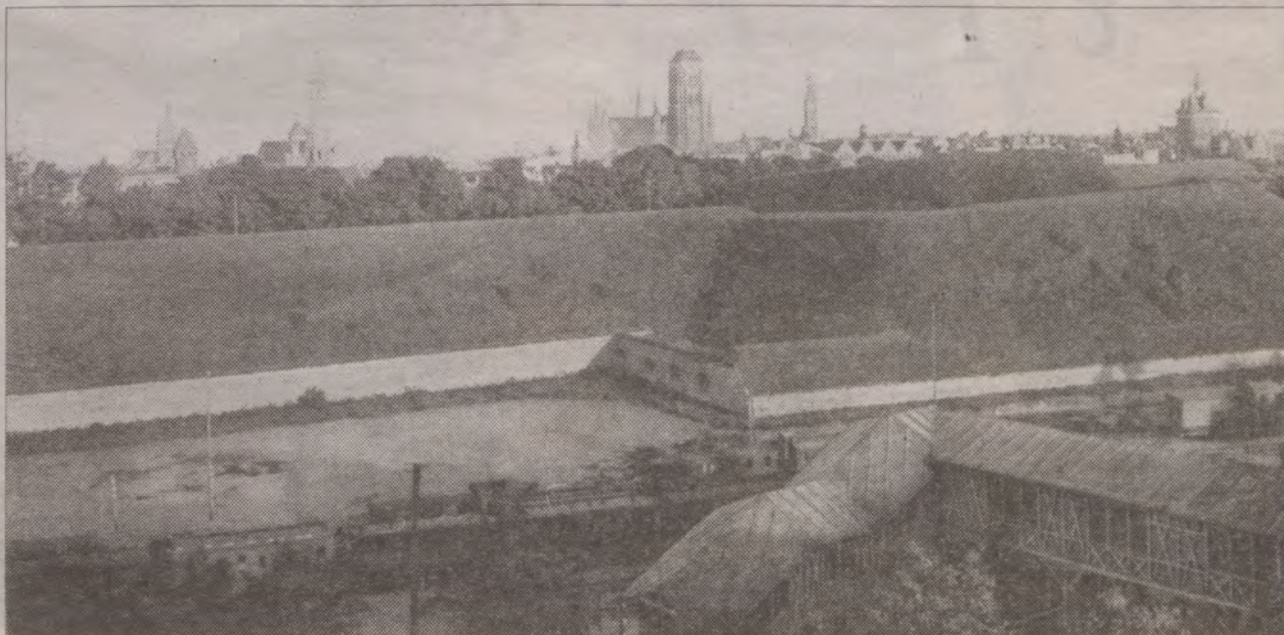


Od frontu, naprzeciw dworca, stały trzy kamienice. Rok 1904.

Fot. ze zbiorów Biblioteki Gdańskiej PAN.



Plan miasta z 1946 roku z naniesionym dzisiaj hotelem „Monopol”.



Schody, nazywane „trąbą słonia”, były kręte i kryte dachem (na pierwszym planie). W dole dworzec, fosa, wały, Gdańsk, rok 1890.

Fot. ze zbiorów Biblioteki Gdańskiej PAN.



Stocznia Gdańska: strajku dzień pierwszy

ných zdjęć z tamtych czasów. Twarze zresztą te same.

Mężczyzna w żółtym kasku ściska w dłoni długą pałkę.

- Na co to panu? - pytam.

- Jak nie zadziałają rzeczowe argumenty, to będzie potrzebna - odpowiada i z dumą pokazuje swój oręż. - U nas na wydziale dwie tokarnie pracują non stop i robią pałki, takie jak moja. To jest osiemdziesiątka (nazwa pochodzi od długości narzędzia), drewniana, ale twarda. Jakby zomowcy chcieli nas zaatakować, to mamy czym się bronić.

- Dojdzie do awantury? - pytam.

- My pierwsi nie zaatakujemy, ale pobić się nie damy.

Nie łamać strajku

O dziewiątej w historycznej sali zbiera się po raz pierwszy komitet strajkowy. Na porządku obrad staje sprawa tych, którzy mimo strajku pracują. Komitet wydał już kilka pozwoleń na pracę w newralgicznych punktach zakładu - tam, gdzie nie można przerwać pracy. Okazuje się, że niektórzy wykorzystują zakaz ponad miarę. Podejrzanie pada na pracowników prywatnych spółek, działających w stoczni. Kilkakrotnie wymienią się nazwę statku Pine Arrow, na którym trwają roboty wykończeniowe - w sobotę ma wyjść w próbny rejs. Podobno zezwolono tam na pracę tylko dwustu osobom, tymczasem pracuje więcej.

Wokół gigantycznego kadłuba masowca nie uwija się jednak zbyt wielu robotników.

- Pracuję tu od czterdziestu lat - mówi starszy mężczyzna w kasku. - Nigdy nie było w stoczni tak źle, jak

dzisiaj. Kiedyś budowaliśmy rocznie po dwadzieścia kilka jednostek, a teraz, niech pan spojrzy dookoła - pustki na pochylniach.

Czy zdołają do soboty oddać statek na próby? Nie wiadomo, ludzi mało, a część z tych, którzy dostali pozwolenie na pracę, i tak strajkuje. Poniżej, na nabrzeżu, grupka stoczników łowi ryby. Zabijają czas w oczekiwaniu na wiec, zapowiedziany na dwunastą.

Dyrektor nie może strajkować

- Nie ma co gadać. Chcieli rozwalić stocznie i w końcu im się udało - rzuca jeden z wędkarzy. - Poza tym zarząd też się przyczynił do tej katastrofy. Co to za dyrektorzy i inżynierowie, co nie umieją pokierować stocznia? Jest pełno zamówień na statki, jest siła robocza i maszyny, a nie ma pieniędzy. Co to za menedżerowie, ja się pytam?

Do gabinetu Ryszarda Gołucha, prezesa zarządu stoczni dobiegają przez zamknięte okna komunikaty komitetu strajkowego. Sekretarka też strajkuje, ale podejmuje się zaanonsować szefowi gości z prasy.

- Przyjechał pan dzisiaj pracować, czy strajkować? - pytamy dyrektora.

- Jestem tu, żeby pracować i śledzić, co się w stoczni dzieje. Jak wy sobie wyobrażacie strajk dyrektora?

- Ludzie mówią, że winę za obecną sytuację w stoczni ponosi nie tylko rząd, ale i zarząd firmy, więc i pan. Czego pan nie dopatrzył?

- Jeśli miałbym sobie coś wyrzucić, to chyba to, że nie byłem dość twardy w kwestii redukcji zatrudnienia. W stoczni pracuje zbyt dużo ludzi, a ja nie potrafiłem ich wyrzucić.

Dekoracja ta sama... Fot. PAP/CAF, Stean Kraszewski

Tu wszystko się poplątało....

- Krzyczą: Komuchy ręce precz od stoczni! Jak zrozumiałeś, odbiór? Po chwili ten sam głos dodaje: - Pod drugą bramą mała grupka, około dwadzieścia osób, kobiety i mężczyźni. Na razie spokój. Kontynuują obserwację, bez odbioru. Rozpoczyna się pierwszy dzień strajku w upadającej Stoczni Gdańskiej.

Przewodniczący gdańskiej „Solidarności”, Jacek Rybicki, od rana jest w stoczni. Nie dziwi go, że służby specjalne obserwują, co się tutaj dzieje. - Jak się z nimi spotkamy, to będziemy się po prostu uśmiechać - mówi. - Mamy już poparcie innych stoczní i regionu warszawskiego. Jest tu Maciej Jankowski. Od różnych firm dostaliśmy chleb, kiełbasę i napoje.

Znajdzie się pała

Atmosfera, jak w Sierpniu '80 roku i podczas innych stocznioowych strajków. Zresztą dekoracja ta sama - od lat krajobraz stoczni się nie zmienił, nawet słynna Sala BHP przetrwała do dzisiaj bez większego remontu. Zniknęło tylko popiersie Włodzimierza Iljicza. Szary tłum robotników też jakby żywcem przeniesiony z archiwal-



Gdańsk - Warszawa, wspólna sprawa! Fot. Antoni Jasiński



Po nas będzie Gdynia, a potem inne zakłady.

Fot. PAP/CAF, Stefan Kraszewski.

- Obiecał pan robotnikom szybką wypłatę reszty pensji za maj. Dotrzyma pan słowa?

- Tak, do końca przyszłego tygodnia pracownicy dostaną zaległe 35 procent wynagrodzeń. Nie tylko stocznia jest dłużnikiem, ale i inne firmy winne są nam pieniądze. Stąd weźmiemy środki na wypłaty. Już nad tym pracujemy.

Prezes nie wyobraża sobie, żeby doszło do sytuacji, w której stocznia przestanie wytwarzać statki. Cokolwiek by się nie stało, produkcja musi być utrzymana. Chodzi nie tylko o siedem tysięcy zatrudnionych tu ludzi, ale i kooperantów rozsianych po całej Polsce. Taki na przykład Tovimor z Torunia jest zaangażowany w produkcję dźwigów na jeden ze statków. Jeśli bank będzie nadal wstrzymywał finansowanie budowy, to Tovimor straci dwa i pół miliona nowych złotych. To oznacza dla nich bankructwo.

Jak w osiemdziesiątym

Przed legendarną bramą numer dwa przyciągnięto towarową przyczepę. Mówcy muszą się na nią wdrapać. Tłum zbiera się dookoła.

- Zobaczcie, wszystkich zrestrukturyzują - odgraża się robotnik w przybrudzonym drelichu. - Po nas będzie Gdynia, a potem inne zakłady. Minister Kaczmarek da nam taką restrukturyzację, że na kuroniówkach pół Polski będzie.

Na przyczepie-mównicy działacze związkowi z szefem stoczniowej „Solidarności”, Jerzym Borowczakiem.

- Kochani, mamy poparcie z innych zakładów - mówi Borowczak i oddaje mikrofon przedstawicielom komitetów zakładowych. Jest ich kilku: z „remontówki”, ze Stoczni Północnej, z portu, Uniwersytetu Gdańskiego i PKS. Po chwili mikrofon przejmuje ksiądz prałat Jankowski, który zjawiał się tu rano.

- Jak zawsze, kochani robotnicy, Kościół jest z wami. Będziemy wam służyć pomocą. Za trzy godziny przyjadą księża spowiednicy, a potem odprawię mszę w intencji strajkujących - mówi prałat i dodaje potrząsając telefonem komórkowym w skórzanym etui: - Postaram się załatwić trochę prowiantu w zaprzyjaźnionych firmach.

Tłum przyjmuje deklarację pomocy oklaskami. Za plecami księdza, za bramą stoczni, ktoś wplata w kraty bukiet kwiatów. Tak, jak w osiemdziesiątym...

Gdańsk - Warszawa, wspólna sprawa!

Tak krzychał rozentuzjasmowany tłum stoczniovców po jednej stronie bramy i mieszkańców Gdańska po drugiej, gdy cztery godziny później na mównicy pojawił się Maciej Jankowski, przewodniczący mazowieckiej „Solidarności”.

- Jak w osiemdziesiątym! - wołał on sam. - Mazowsze poprze Gdańsk! Jak będzie trzeba, wszyscy tu przyjedziemy! Albo nawet odwrotnie. Przyjedziecie do Warszawy, damy nocleg i jeść.

- Stocznia, to nie jest tylko problem Gdańska, to sprawa całej „Solidarności”, całego kraju - mówi Jacek Rybicki, do którego przez cały czas dzwonią a to z „Cegielskiego” w Poznaniu, a to z częstochowskich hut, czy kopalń w Jastrzębiu. Jest o tym głęboko przekonany.

- Strajk generalny jest za drogi, nie stać Polski na to - tłumaczy dziennikarzom szef mazowieckiej „Solidarności”. Wtórnie mu, owacyjnie witany na wiecu, Marek Kempski, przewodniczący Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. - Pokazaliśmy, jak inaczej można protestować. Górnicy są w tej samej sytuacji i do Warszawy z wami przyjedziemy.

Gdy na mównicy pojawia się Ewa Treła z „Solidarności” uniwersyteckiej, by wyrazić poparcie środowiska akademickiego, Marian Krzaklewski, człowiek numer 1 w „Solidarności”, woła:

- Inteligencja z wami!

- Jezu, to chyba jak Wtedy? - wzrusza się młody spawacz. Stojąca obok pani Jadzia z kadr, która Sierpień dobrze pamięta, przytakuje. - Wtedy też - mówi - chodziło o godność.

O godności mówił kilka dni wcześniej, w czasie wiecu, Paweł Zinzuk, bosman z P-1. Ze nie wolno dać się rzucić na kolana. - Pamiętacie, co mówił papież? To my, ludzie, jesteśmy podmiotem.

Śpiewali „Boże, coś Polskę...”, jak zawsze zlewając w jedno dwie wersje

pieśni. I, trochę może podskórnie chcieli, żeby było jak Wtedy.

Jest dziewięćdziesiąty szósty

Problemy jednak inne niż w osiemdziesiątym. Teraz mówi się o podatkach i posłach.

- Pan premier Cimoszewicz mówi, że pomoc dla stoczni byłaby z naszych podatków. Proszę bardzo, ja wolę, żeby moje pieniądze szły tutaj, a nie na Polisę czy Bank Gospodarki Żywnościowej - stwierdził Maciej Jankowski. - Chcę i mam do tego prawo! Decyzja o likwidacji stoczni jest po prostu głupia - podsumował ministerialny pomysł na rozwiązanie problemów zakładu szef mazowieckiej „Solidarności”.

Związkowcy wiedzą, że decyzję rządu może zmienić tylko Sejm. Marek Kempski apeluje więc do szefów klubów parlamentarnych Polskiego Stronnictwa Ludowego, Unii Wolności, BBWR, Konfederacji Polski Niepodległej i „kogo tam jeszcze”, żeby coś zrobili.

- Gdyby nie Sierpień '80, to oni by w parlamencie nie byli! - Brawa zgłaszają szefa śląskiej „Solidarności”. Sierpień wraca jak bumerang.

Tysiąc ludzi pod stocznia słucha mszy, którą odprawia ksiądz Jankowski. Młoda matka z dzieckiem w wózku mówi do nas, może sama do siebie: - Tu wszystko się poplątało...

Alina Geniusz, Tomasz Zajac



U nas na wydziale dwie tokarnie pracują non stop i robią palki, takie jak moja...

Fot. Robert Kwiatek

„Tato, a Marcin powiedział” ... Czy to dobrze, czy to źle, że...

Tradycja nam dzieciennieje

Pomysły humanisty

Tradycja: zakres tego pojęcia bardzo się rozszerzył. Tradycją nazywa się już nawet trzykrotne powtórzenie jakiegoś obrządku. Kiedy kilkanaście lat temu dyrektor festiwalu filmowego w Gdańsku mówił na zakończenie powitania: „I tradycyjnie już zapewniam państwa, że w przyszłym roku goście festiwalowi będą zakwaterowani w hotelu „Heweliusz”, to był to żart. Uruchomienie „Heweliusza” przesunęło się z roku na rok i biedny dyrektor festiwalu po raz trzeci chyba świecił oczyma za wykonawców, ale dowcipnie się z tego wywinął. Jeśli jednak na jesieni minister Kołodko powie, że tradycyjnie już planuje inflację na 17 proc. (jak w dwóch przeszłych budżetach), to już nie będzie takie pewne, czy dowcipkuje, czy 17-procentową inflację wpisał do rejestru uświęconych słów.

Bo świętuje się teraz nagminnie piąte rocznice funkcjonowania czegoś tam, co by świadczyło, że perspektywa czasowa ojców miasta, prezesów i innych notabli skurczyła się do wyobrażeń przedszkolaka. To dla dziecka bowiem coś, co powtarza się rokrocznie od czterech lat, znaczy „od zawsze”, a to, co ma być za lat 10 (nie mówiąc o 25) to tyle co nigdy. Burmistrz czy prezes jublujący trzylecie, tak jak dziecko nie może się doczekać okrągłej rocznicy...

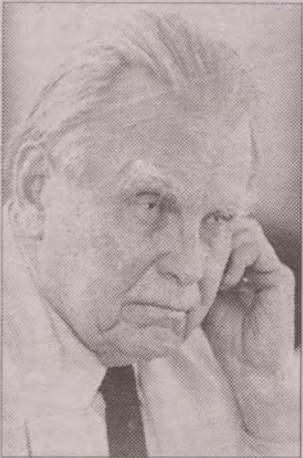
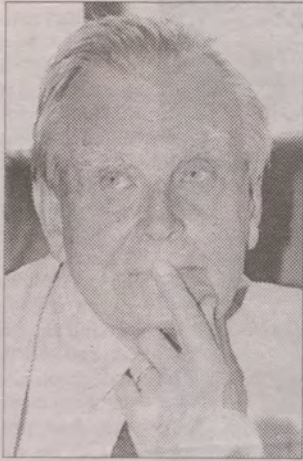
Pajdokratyzacja tradycji (pajdokracja = dyktatura dzieci) objawia się też w niebezpiecznym zatarciu granicy między tradycją a modą. Obrządki tradycyjne i zachowania modne mają istotnie pewne wspólne cechy: i te, i tamte są poniekąd wymuszone presją zewnętrzną. Kto im się nie podporządkuje, uchodzi za odmienca, dziwaka, a bardzo często w ogóle za „coś gorszego”. Człowiek dojrzały bywa na taką presję odporny, dziecko nie. Dziecko chce np. dostać prezent na Dzień Dziecka, „bo wszyscy (tj. Jola, Mariola i Darek) dostają”.

Dziecko w ogóle chce dostawać prezenty, a rodzice bądź to dlatego, że mają wobec dzieci nieczyste sumienie z powodu powszedniego ich zaniedbywania, bądź chcąc im dać to, czego sami nie mieli, tej żądzy darów ulegają. Zauważmy, ileż to się w ciągu jednego pokolenia namnożyło „świąt prezentowych”: do imienin, dawniej tylko katolickich, dołączyły i protestanckie urodziny. Prezenty nikotajowe spęczniały prawie do rozmiarów gwiazdkowych. Zakończenie roku szkolnego też właściwie należy uczcić upominkiem, a na Pierwszą Komunię nie dostaje się już „pamiątek” (rzeczy pamiątkowych, mających służyć długo, jak książka, zegarek, medalik), ale prezenty całkiem świeckie, od imieninowych różniące się tylko ceną.

Tradycjotwórcza rola dzieci jest tym większa, że to one dziś są nośnikami informacji obyczajowych pomiędzy ludźmi różnych sfer i nawiązków, zakorkowanymi dość szczelnie w swoich M w blokowiskach. To zjawisko „tak mi się opisało” w jednej z moich powieści, ale dostrzegła je i podkreśliła w recenzji Ewa Moskalówna, najwnikliwsza z moich czytelników i krytyków. To dzięki dzieciom, spontanicznie i bez obciachu przekraczającym progi mieszkań kolegów, rodzina inżynierska dowiaduje się, jak świętować „przyjęcie”, a rzemieślnicza - jak „osiemnastkę”. Dzięki temu, „co Marcin powiedział”, tato musi rewidować i uwspółcześniać swoje poglądy na obyczaje i przekonania współobywateli.

Czy to dobrze, czy źle? Bo ja wiem? Przede wszystkim - dziwnie. I zupełnie nietradycyjnie...

Janina Wieczerska



Czesław Miłosz przebywał w Sopocie od 6 do 9 czerwca br. w związku z promocją książki Wojciecha Kassa „Aj, moi dawno umarli”, dotyczącej związków poety z Sopotem. Obchodził też uroczystości 85. rocznice swoich urodzin (ur. w 1911 r. w Szetejniach na Litwie). Czesław Miłosz od 1951 r. przebywał na obczyźnie. W roku 1961 na stałe osiadł w amerykańskim mieście Berkeley, gdzie jako profesor wykładał na Wydziale Literatur i Języków Słowiańskich Uniwersytetu Kalifornijskiego. W roku 1980 otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Jest doktorem honoris causa sześciu uniwersytetów, m.in. Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Twórczość Miłosza, przez wiele lat zakazana w kraju, była dla wielu Polaków symbolem protestu przeciwko reżimowi komunistycznemu np. „Zniewolony umysł” i „Zdobycie władzy”. Fragment wiersza „Który skrzywdziłeś” widnieje na pomniku Ofiar Grudnia. Jego utwory odwoływały się również do wspomnień lat dziecięcych i wileńskiej młodości: to np. powieść „Dolina Issy” oraz zbiór esejów „Rodzinna Europa”. Przekładał również z oryginału hebrajskiego Pismo Święte, m.in. Księgę Psalmów i Księgę Hioba.

(ald)

Czesław Miłosz

„Oby moje dzieło przyniosło ludziom pożytek i więcej ważyło niż moje zło” - z wiersza „W Szetejniach”

Wszystkim przyjaciółom znane jest wnikliwe spojrzenie Miłosza. Obserwuje świat spod krzaczastych brwi. Witold

Gombrowicz nazywał Miłosza „borsukiem litewskim”. Na świat patrzy z ciepłą ironią. Jest pełen optymizmu. Zarzuca Polakom, że są zbyt skłonni do „psioczenia”. Potrafi spontanicznie roześmiać się rubasznym-rechoczącym, charakterystycznym śmiechem. Jest szalenie zdyscyplinowany wewnętrznie i surowy dla siebie - taka postawa motywuje go do tworzenia. Człowiek o niespożytych siłach, podróżujący przez całe życie. Zwiedził już niemal cały świat. Nie był tylko w Afryce. Resztę życia chciałby spędzić w Krakowie. Kocha ptaństwo wodne i inne zwierzęta. W młodości marzył o profesji botanika. Z tej pasji pozostała dokładna znajomość wszelkich gatunków roślin (np. drzewa w „Widzeniach nad Zatoką San Francisco”).

Wielka trójca poetów

Natchnienie czerpie z bacznych obserwacji, wspomnień, tęsknoty. Jest wrażliwy na szczegóły i skrupulatny, ma doskonałą pamięć - mimo sędziwego wieku. Na bieżąco śledzi wszystkie wydarzenia w Polsce i na Litwie. Za najgenialniejszego poetę polskiego uważa Mirona Białoszewskiego. Wymienił też czwórkę mistrzów pióra Europy środkowo-wschodniej: Josif Brodsky, Tomas Venclova, Stanisław Barańczak i... Czesław Miłosz. Świetnie zna twórców wybrzeżowych. Sentymentem darzy Aleksandra Jurewicza (laureat Nagrody Miłosza w 1989 r.), który również podejmuje tematy „litewskiej ojczyzny”. Szanuje Pawła Huellego.

- Polskim ewenementem jest literatura regionalna na bardzo wysokim poziomie. Takiego nurtu nie udało się wykształcić np. Francuzom - mówi Miłosz.

Chętnie wspiera i promuje polskich twórców w Stanach. Uchodzi tam za mecenasa kultury polskiej.

Na temat poezji polskiej po roku 1989 nie chce się wypowiadać. Jest wciąż czynnym pisarzem. Wkrótce ukaże się tom jego korespondencji z Jerzym Andrzejewskim oraz eseje z czasów okupacji.

Biały niedźwiedź

Miłosz bardzo lubi przyjeżdżać do Polski. Z uśmiechem mówi o zachowaniu rodaków na jego widok.

- Fotografują się ze mną jak z wypchanym niedźwiedziem.

W zeszłym roku podczas spaceru po ul. Długiej ujrzała go babuleńka sprzedająca haftowane serwetki. Zawołała: „O Boże, pan profesor!”, upuszczając robótkę z rąk. Po czym obdarowała żonę poety Karolinę haftowanymi. Uliczni gdańscy grajkowie na widok noblisty - zagrali sto lat. Polacy otaczają Miłosza prawdziwym kultem. Wiele osób zwraca się do niego „Mistrzu”. Chętnie daje autografy i pozwala nacieszyć się przez chwilę swoją osobą. Unika natomiast tłumów i oficjalnych uroczystości. Na sopocką fetę



Ulubionym trunkiem Miłosza jest krupnik litewski.



Tak się złożyło, że w Sopocie przypadła 85. rocznica urodzin Mistrza. Jednym tchem zdmuchnąć 85 świec - ho, ho! To trzeba mistrza!

Gdy był tu rok temu - proponowano mu sopocki „belweder”. Podziękował i poprosił o pokój w Hotelu Grand z widokiem na zatokę. Tym razem też zatrzymał się w Grandzie.

zgodził się z sympatii dla Wojciecha Kassa.

Kraj lat dziecińczych

Wielkim sentymentem darzy kraj lat dziecińczych - Litwę. Chętnie tam wraca. W zeszłym roku został honorowym obywatelem Litwy. Wspomnienia z młodości Arkadii są wciąż obecne w jego twórczości np. w „Dolinie Issy”. Nie podobała mu się jej filmowa adaptacja. Uważa, że reżyser - Tadeusz Konwicki, zniekształcił niektóre wątki i potraktował temat zbyt komercyjnie. Jego sentyment do rodzinnej krainy objawia się również w doborze potraw. Ulubionym trunkiem Miłosza jest krupnik litewski. Głównymi daniami podczas obiadu w sopockiej restauracji Fukier (7 bm.) były kolduny po litewsku oraz lin w śmietanie. Uwielbia ryby. Podobno ma to związek ze znakiem zodiaku. Wszystkie Raki kochają wodę i ryby.

Sopockie wypominki

Z Sopotem wiąże Miłosza przede wszystkim grób matki na Cmentarzu Katolickim, który odwiedza, goszcząc w Polsce. Traktuje cmentarz jako miejsce intymne - nie lubi, gdy podczas zadumy nad grobowcem otacza go tłum dziennikarzy i błyskający fleszami fotoreporterzy. Chętnie spotyka się też z mieszkającym tu kuzynostwem - Teresą i Zbigniewem Lipińskimi. „Ufam, że Sopot jest miejscem, które poprzez morenowe wzgórza i wody zatoki jednoczy w sobie młodość poety, dojrzewającą pośród pagórków okalających Wilno i wiek męski, upływający od 36 lat nad Zatoką San Francisco” - pisze Wojciech Kass w swojej książce o Miłoszu. W Sopocie podoba mu się bujna zieleni i cudowne morze - inne niż w Kalifornii - tajemnicze i surowe, a zarazem przyjazne i ciepłe.

Kiedy gościł tutaj w zeszłym roku, prezydent Sopotu Jan Kozłowski zaproponował mu nocleg w tzw. belwederku, pierwszej siedzibie Lecha Wałęsy po demokratycznych wyborach. Miłosz nie zgodził się. Poprosił o pokój w Grand Hotelu z widokiem na zatokę. Tym razem też zamieszkał z żoną w Grandzie.

Zebrala Aldona Kaszubska

Fotografie: Robert Kwiatek

PS. Dziękuję za pomoc Wojciechowi Kassowi.



Walcowanie Mołotowa z Bermanem pod płytę wybraną przez Stalina, nakręcającego patefon - to wspaniały wątek dla dramaturga (może Mrożka)?

Gdzie te prywatki...

Chwyty dozwolone

Stalin wydawał kolacje na jednej z zakonspirowanych „dacz” o dziesiątej wieczór. Biesiadowano do rana, Gospodarz pił tego. Podawano pyszną pieczeń z niedźwiedzia, a po kolacji goście oglądali jakiś niedostępny dla zwykłych obywateli film. Zazwyczaj amerykański.

Na ekskluzywnych prywatkach u Stalina bywali Bolesław Bierut i Jakub Berman, absolwenci szkoły Kominternu, czyli „Leninówki”. Bywał na nich czasem i Gomułka. Stalin wznosił toasty w porządku hierarchicznym, najpierw za Bieruta, potem o odcień chłodniej za Bermana. Ucztowano w kompanii męskiej, lecz nigdy nie zapomniano o tańcach. Sam Stalin nie tańczył, za to obsługiwał osobiście patefon. W płasy puszczał się minister Mołotow, choć za dnia obarczony ciężarem szefowania sowieckiej dyplomacji. Raz w 1948 Mołotow poprosił do walca Bermana. Mołotow, sam z bojańskiego rodu Skriabinów, prowadził tow. Jakuba z wprawą jako partnerkę. W pewnym momencie szepnął w uszko przytulonemu doń Bermanowi coś o „penetracji wrogich organizacji”, niebezpieczeństwie raczej urojonym. Chyba na rozkaz Gospodarza?

Któryś już raz wracam do tej sceny, opisaną w książce „Oni” Teresy Torańskiej. Walcowanie Mołotowa z Bermanem pod płytę wybraną przez Stalina, nakręcającego patefon - to wspaniały wątek dla dramaturga (może Mrożka?), albo filmowca (np. Wajdy, na wzór tańca chocholego w „Weselu”). Drugi po Bierucie decydent w Peerelu, członek trzymającego kraj w żelaznych ryzach Politbiura PPR, „szara eminencja” rozstrzygająca o życiu lub śmierci setek niewinnie więzionych - za pełną aprobatą prezydenta PRL błaznuje jako danserka! Wiadomo, że np. ulubioną rozrywką cara Piotra Wielkiego były podobne błazenady, służące upokarzaniu dygnitarzy i bojarów. Odbiciem męskich owych piotrowych orgietek były właśnie owe potańcówki u Stalina, gdzie grubas Chruszczow solo wywijał „hopaka”. Nie dziwi, że pajacował na nich Mołotow - skoro nie protestował przeciw wywiezieniu żony do lagru - lecz jak interpretować błazenadę męża stanu Peerelu, teoretycznie suwerennego państwa? Przecież Bierut i Berman znali już w 1948 prawdę o Katyniu i pamiętali wystąpienie Mołotowa 31 października 1939, kiedy grzmiał o Polsce jako „pokracznym bękarcie Traktatu Wersalskiego”, na zawsze wymazanym z mapy Europy. Ręka Mołotowa obejmująca kibić Jakuba Bermana w walcu - była splamiona polską krwią, bo podpisała zbiorowy wyrok śmierci na polskich oficerów w lagrach Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa.

Okupacja hitlerowska polegała w wielu krajach na ustanowieniu kolaboranckich reżymów, od Protektoratu Czech i Moraw poczynając, a na „rządzie Vichy” Petaina we Francji lub rządzie Quislinga w Norwegii kończąc. W Polsce, wiadomo, za Niemca quislingów nie było... Wracajmy do „Onych”, by bez emocji i gniewu rozstrzygnąć historyczny spór: czy PRL była autentycznym państwem, a jej rząd - prawdziwym rządem?

Jan Chrzan

PS. W moim „II krajowym wydaniu” z 1990 „Onych”, o dziwo kupionym z przeceny, widnieją liczne interwencje cenzury. Kto pamięta, że cenzura miała tak wyjątkowo twardy żywot? Przeżyła PRL i działała nadal za rządów Mazowieckiego - po obwieśczeniu III Rzeczypospolitej! Czy powróci?

Za dwadzieścia lat, jak zepsują się korki, albo wiatr zerwie linię wysokiego napięcia, może ustać cały handel, a z zakupami trzeba się będzie wstrzymać do przyjazdu elektryka.

Pieniądz plus elektryfikacja

Rejsy po gospodarce

Włodzimierz Lenin powiedział, iż komunizm to władza rad plus elektryfikacja. Mimo to łatwiej nam wyobrazić sobie bez prądu ów najdoskonalszy ustrój niż współczesny realny kapitalizm.

Ubiegłotygodniowa konferencja organizacji Europy w Sewilli skłania do zastanowienia się nad kształtem pieniądza w niedalekiej przyszłości. Co ma wspólnego pieniądz z elektryfikacją? Ano, coraz więcej. Obsługa elektronicznych kart płatniczych i kredytowych wymaga skomplikowanych urządzeń. Nie tylko w bankach, ale i w punktach sprzedaży, choć w tych ostatnich wystarczą niekiedy proste maszyny do odciskania numerów. Karty stają się coraz popularniejsze. Coraz więcej transakcji jest obsługiwanych przez ten „elektroniczny” pieniądz. Gotówka jest w odwrocie. Dominuje jedynie w drobnych transakcjach. I to w Sewilli pokazano tzw. CLIP-y.

CLIP to pozornie zwykła karta płatnicza. Ale ma zatopiony specjalny złoty chip elektroniczny. Dzięki temu można na niej odnotowywać na bieżąco stan konta posiadacza. W sklepowej kasie możliwe będzie, przy pomocy specjalnego urządzenia, sprawdzenie czy na rachunku klienta jest odpowiednia do zapłaty kwota pieniędzy. Co więcej jednak, jeśli wykorzystamy całą sumę znajdującą się na karcie, będziemy mogli ponownie ją „załadować”. Pod warunkiem, że mamy coś na rachunku bankowym.

Rewolucyjność CLIP-ów polega zatem na ich prawdziwej elektronizacji (obecne karty są elektroniczne tylko częściowo) - możliwości kontroli bieżącej ich zawartości, no i płacenia nimi nawet za zupełnie drobne sprawunki. To naprawdę pachnie przelotem. Gotówka może w ogóle zniknąć. Bo i do czego może się nam przydać? Tym bardziej, że CLIP zapewni większe bezpieczeństwo obrotów. Kradzież takiej karty niewiele da złodziejowi, bo musi znać jej kod, aby gdziekolwiek nią zapłacić. Jest jednak pewien szkopuł. We wszystkich punktach sprzedaży trzeba będzie zainstalować specjalistyczny, na razie potwornie drogi sprzęt do „czytania” kart. Choć pewnie jego ceny szybko będą maszerowały w dół.

Dreńczy mnie tylko jedno głupie pytanie: co będzie jak wysiądą korki? Albo jak wichura zerwie linię wysokiego napięcia? Ustanie handel? Z zakupami trzeba będzie się wstrzymać do usunięcia awarii? A może wówczas ktoś wpadnie na pomysł, że aby uniezależnić się od prądu, warto zaopatrzyć klientów w znakowane krążki metalu lub kawałki specjalnie zadrukowanego papieru? Czyli ponownie odkryjemy gotówkę. I powrócimy do „źródeł”?

Na razie jednak jesteśmy na etapie, na którym powiedzenie, że kapitalizm to pieniądz plus elektryfikacja wydaje się całkiem dobrze oddawać to, co się dzieje. Bo ustroje się zmieniają, a prąd pozostaje prądem. Bez elektryka ani rusz.

Piotr Dominiak

Szukam takiej melodii, którą mogę zaśpiewać bez akompaniamentu. Jeśli, idąc ulicą, będziesz ją mógł zagwizdać i to dobrze

Po prostu

zabrzmi bez żadnych dodatków, to znaczy, że ta melodia spodoba się ludziom.



- Mick, gdzie twoje piękne włosy? - to było jedno z pierwszych pytań, jakie padło podczas konferencji prasowej.

Simply Red

W sobotę Mick Hucknall, lider zespołu Simply Red, śpiewał na ceremonii otwarcia mistrzostw Europy w piłce nożnej dla miliardowej publiczności. W niedzielę wystąpił na warszawskim Torwarze. Był to jeden z koncertów na trasie, podczas której zespół promuje najnowszą płytę „Life” - sprzedano już osiem milionów jej egzemplarzy. - A to - jak mówi Hucknall - zaledwie początek, bo płyta zaczyna dopiero żyć. Simply Red to w chwili obecnej jedna z najlepiej sprzedających się grup brytyjskich. Jej fani na całym świecie kupili już ponad trzydzieści milionów ich płyt.

Ogromne ciężarówki Scania przemierzają kraje i kontynenty, wioząc wszystko, co składa się na koncert: estradę, sprzęt techniczny, oświetlenie, scenografię i wszelkie maszyny, umożliwiające efekty laserowe i pirotechniczne. Ekipa jeździ klimatyzowanymi autobusami. Trasę zaplanowano na dwa lata. Dla wszystkich oznacza to oderwanie od domów i rodzin na ten czas. To duża cena za sukces. Dlatego, jak twierdzi Hucknall, to jego ostatnia trasa światowa. Szkoda tych dwóch lat życia.

W ponad czterdziestostopniowym upale technicy z ekipy rozkładają ciężarówki. Kierowcy rozstawili sobie składane łóżka i opalają się na parkingu przed Torwarem. Mick Hucknall punktualnie pojawia się na konferencję prasową, ale organizatorzy - warszawska agencja Odyssey - nie wiedząc czemu przeciąga jej rozpoczęcie. Pewnie dla wywołania większego wrażenia. Obyczaje prowincjonalne...

Lider Simply Red jawi się jako osoba prostołiniowa i sympatyczna. Bez kaprysów i fanaberii gwiazdora. Czy taki jest naprawdę, czy tak ustawiono jego image? Badania marketingowe, przeprowadzone wśród fanów zespołu, ujawniły bowiem, że postrzegany on jest jako swój chłop, kumpel z sąsiedztwa. Więc trudno w ciągu niecałej godziny zorientować się, czy to poza, czy taki po prostu jest. Jedynym warunkiem, jaki stawia, to prośba o nie robienie zdjęć w czasie rozmowy. Fotoreporterzy mają swoje pięć minut przed i po konferencji. Później okaże się, że na koncercie w ogóle zdjęć robić nie będzie można. Szkoda.

Na pytania odpowiada chętnie, choć dość powierzchownie. Dla nas to okazja zobaczyć gwiazdora, zapytać o coś, co nam wydaje się ważne. Dla niego po prostu część pracy, jaka wiąże się z promocją albumu. Wszędzie pewnie podobne pytania - od standardowych, po głupie i banalne. Najpierw lawina pytań sportowych, wszak rozpoczęły się mistrzostwa, a Mick jest znany jako zagorzały kibic piłkarski, wręcz maskotka klubu Manchester Utd. Najbardziej jednak ciekawią go te, zacierające o politykę. Czy jest usatysfakcjonowany, że odeszła Margaret Thatcher, przeciwko której gardłował w swoich piosenkach? O tak, jej rząd był straszny, traktowała ludzi, jak piłkę tenisową. I tutaj Mick Hucknall wywiódł paralelę pomiędzy rządami brytyjskiej pani premier a naszą komuną, która, na szczęście, także już odeszła...

Na półtorej godziny przed koncertem organizatorzy są gotowi. Sprytnie ustawione żelazne bariery pozwalają ochroniarzom sprawdzić każdego, kto ma plecak

lub torbę. Zgodnie z instrukcją, wydrukowaną na odwrocie biletu, nie wolno wnosić aparatów fotograficznych, sprzętu nagrywającego i alkoholu. Wszystko odbywa się sprawnie i spokojnie. Tym razem owa instrukcja okazuje się jedynie strasza-kiem, chociaż jej sfor-

Dyskografia Simply Red

Albumy:

Picture Book (1985), Men And Women (1987), A New Flame (1989), Stars (1991), Life (1995).

Single:

Money's Too Tight - To Mention (1985), The Right Thing (1987), It's Only Love (1989), Something Got Me Star-ted (1991), Fairground (1995).

czy owe „warunki sprzedaży”, o których klient dowiaduje się zazwyczaj dopiero w domu, oglądając dokładnie bilet, ktoś zechce wprowadzić w czyn. Wtedy dopiero zaczną się korowody.

Ale niedzielny koncert nie dostarczył w tym względzie żadnych sensacji.

Już przy pierwszym utworze publiczność pokazała, że przyszła się po prostu bawić. Przeważali, oczywiście, ludzie młodzi, ale podskakiwali także łysiejacy czterdziestolatkowie. Mick Hucknall natychmiast nawiązał kontakt z publicznością, która - a on to uwielbia - sama śpiewała całe partie piosenek, co pozwala na konstatację, że znajomość języka angielskiego w młodym pokoleniu Polaków znacznie się poprawiła. Tempo koncertu było znakomite, utwory z ostatniej płyty przeplatały się z tymi z poprzednich albumów, niezłe efekty wizualne - w tym dwie atrakcyjne „czekoladki” w chóru - z prawdziwym buchającym ogniem na zakończenie. I do szczęścia niewiele by brakowało, gdyby nie to, że słychać było, mówiąc delikatnie, nie najlepiej. Ale prawdziwemu fanowi to w końcu nie wadzi, płyty może sobie posłuchać w domu. I gdy na bis Mick rozpoczął „If you don't know me by now...” zapłonęły zapalniczki i wszyscy pragnęli, aby ta chwila trwała jak najdłużej.

Aleksandra Paprocka

mułowa-nia typu: organizator może „odmówić wstępu posiadaczowi biletu” lub „zażądać, aby posiadacz biletu opuścił teren imprezy” albo „zmienić program pod względem artystycznym i czasowym bez uprzedniej konsultacji i rekompensaty” itp., zakrawają na kpinę. Agencja Odyssey organizuje w najbliższym czasie koncert Stinga i Tiny Turner. Ciekawe,

* Mick Hucknall ma 35 lat, jest pół-Irlandczykiem. Śpiewa od dziecka, pierwszy koncert dał w wieku 6 lat. Gdy miał lat 14 występował ze szkolną grupą rockową Osiris i bardzo chciał być wokalistą, ale nie mógł się przebić z powodu swoich rudych włosów. Po Osirisie była punkowa kapela Frantic Elevators. Wreszcie spotkał Elliota Rashmana, z którym stworzył Simply Red. Rashman jest menagerem zespołu.

* Na gitarze nauczył się grać, gdy miał 17 lat. Nie ma wykształcenia muzycznego (z zawodu jest artystą plastykiem), nie potrafi czytać nut, ale - jak mówi - wie o co mu chodzi w muzyce. Jedyłą edukacją muzyczną było opanowanie ćwiczeń głosowych i techniki posługiwania się przeponą.

* Nie lubi występować na stadionach, bo trudno tam o dobry kontakt z publicznością, ani w małych salkach klubowych, w których brakuje powietrza i trudno mu złapać oddech. Torwar uznał za obiekt w sam raz. Każdy koncert na trasie jest nieco inny - miejsce, a później atmosfera, decydują o wyborze utworów.

* Uwielbia muzykę reggae. Ma gigantyczny zbiór płyt tego gatunku. Jest współzałożycielem wytwórni płytowej Blood & Fire, specjalizującej się w starych nagraniach reggae.

* Od siedmiu lat nosi w zębie rubin, który kosztował go zaledwie 150 funtów, ale za wprawienie zapłacił już dużo więcej.

„Newsweek”: Mniej a lepiej

Okno na świat

Poradniki na całym świecie robią zawrotną karierę. Większość z nich radzi, jak stać się bogatym, jak nauczyć się szybciej czytać, albo jak poprawić swoje kwalifikacje. Stawiają sobie za cel odegranie roli drogowskazu w drodze wyżej i dalej. W tym wypadku jest jednak inaczej.

Autorka Elaine St. James proponuje drogowskazy w dół, a w najlepszym wypadku - w bok. Porusza się pod prąd, choć jednocześnie można ją chyba uznać za kogoś, kto zwiastuje rodzenie się całkiem nowego trendu. W swojej książce pt. „Prosty dostatek”, która nie tak dawno ukazała się na amerykańskim rynku, a omawiana jest na łamach „Newsweeka”, kwestionuje wiele aksjomatów rządzących życiem przeciętnego amerykańskiego zjadacza hamburgerów. St. James twierdzi, że nieustanna ucieczka do przodu, bezkrytyczna akceptacja wszechobecnego i wszechogarniającego „wyścigu szczurów” jest największą chorobą, która nęka amerykańskie społeczeństwo i która w coraz większym stopniu nie pozwala mu cieszyć się życiem.

Elaine St. James dowodzi, że mniej często oznacza lepiej; że powinniśmy pozbyć się tych wszystkich rzeczy z naszego otoczenia, które trzeba „odkurzać, pilnować i ubezpieczać” - nieustannie bać się, by ich nie stracić albo bezpowrotnie uszkodzić. Wiele rzeczy, które nabywamy (a raczej kolekcjonujemy) tak naprawdę, wcale nam nie jest potrzebna. Nabywamy je, bo wymaga tego moda, lub pusta, niczym nie podbudowana żądza posiadania. Bezskrytyczne zakupy zmuszają nas z kolei do jeszcze bardziej wyjęzionej pogoni za pieniędzmi. Tworzy się błędne koło, z którego tylko nieliczni potrafią się wyzwolić.

Amerykańska pisarka przekonuje, że - by uciec od złych stron cywilizacji - wcale nie trzeba budować jednoizbowej samotni w Górach Skalistych, jak to uczynił Ted Kaczynski, domniemany Unabomber. Z cywilizacyjnego cienia można wyjść w jakimkolwiek momencie życia, w jakimkolwiek punkcie geograficznym, a jedyne co jest do tego niezbędne, to autentyczna wola, by tak uczynić. Książka „Prosty dostatek” ma to ludziom właśnie uświadomić. Elaine St. James nie namawia wcale do przywdziewania pokutnych szat, ani do sypania popiołu na głowę. Twierdzi tylko, że jakość życia tylko w pewnym stopniu zależy od ilości pieniędzy, jaką dysponujemy.

Jeśli znaleźliśmy się w takim stanie, że nie mamy czasu ani dla swoich bliskich, ani przyjaciół, powinniśmy dokonać gruntownej rewizji naszego trybu życia. Jeżeli zarabiamy ponad średnią, a jednocześnie odnosimy wrażenie, że pieniędzy na nic nam nie starczy - to jest to drugi, jeszcze głośniejszy dzwonek alarmowy.

Przesłanie Elaine St. James, która nie nawołuje do życia biedniejszego, lecz prostszego (a przez to bardziej pogodnego), mieści się w tradycji od Buddy począwszy, a na Thoreau i Gandhim skończywszy. To przesłanie, które aktualne jest nie tylko w USA, choć może tam najbardziej. Jestem przekonany, że gdyby ktoś w Polsce zdecydował się na publikację „Prostszego dostateku”, poradnik ten cieszyłby się nie mniejszym powodzeniem niż za oceanem. A może nie doceniam polskich wydawców i za kilka tygodni okaże się, że gdy pisałem te słowa, on był już w druku?

Roman Warszawski



Jak zostać piłkarską prowincją? Każdy, kto chciałby otrzymać odpowiedź, powinien natychmiast przyjechać do Trójmiasta. W ciągu jednego sezonu pozbyliśmy się miejsca w I lidze (Lechia/Olimpia) i dwóch miejsc w II lidze (Polonia i Bałtyk). Z ligi spadli piłkarze. W dość powszechnej jednak opinii winni są działacze. A już śmiechu warte jest, że I ligę otrzymaliśmy w Gdańsku w prezencie i nawet tego uśmiechu losu nie potrafiliśmy uszanować.

Wielkie spadanie

Lechia/Olimpia

Piękny był prezent

To był piękny prezent. Bolesław Krzyżostaniak przywiózł do Gdańska I ligę piłkarską.

Pamięć podsuwa obrazy sprzed kilku miesięcy. Początek sezonu 1995/96. Tłumy ludzi na stadionie przy ul. Traugutta. Dobrze było się tam pokazać. Gospodarze wygrywają. Lechia/Olimpia na czele piłkarskiej ekstraklasy. Tak było naprawdę po trzeciej kolejce tego sezonu. Za plecami białozielonych Legia Warszawa i Widzew Łódź. Czy w ogóle warto

to pamiętać... Później bywało różnie. Raczej gorzej niż lepiej. Gdańszczanie rozmijali się w dwóch przypadkach ze swoimi rywalami. Oni czekali na nich w Gdańsku, tamci jeździli do Poznania. W Polskim Związku Piłki Nożnej, niekoniecznie zgodnie z prawem i własnymi przepisami, raczej punkty walkowerem przyznawano GKS Katowice i Lechowi Poznań. Lechia/Olimpia zsuwa-

ła się coraz niżej w tabeli. Trener Hubert Kostka był tak „natarczywy”, że domagał się, aby działacze w Gdańsku wskazali mu boisko do treningu. Pieniądze przez cały czas przywoził z Poznania Krzyżostaniak. W końcu Kostka nie wytrzymał. Powiedział - dość i wyjechał. Trenerski duet Stanisław Stachura i Czesław Bógusiewicz próbowali jeszcze ratować drużynę przed degradacją. Na

próżno, chociaż tak niewiele punktów zabrakło do szczęścia.

Piłkarze mówią, że gdyby nie te walkowery, utrzymaliby się w lidze spokojnie. Niestety, jakby zapominają, że fatalnie grali w rundzie wiosennej, kiedy w dziewięciu kolejnych spotkaniach nie potrafili odnieść zwycięstwa. To jest ich część winy za to, co stało się z drużyną.

Janusz Woźniak
Adam Suska
Maciej Polny
Zdjęcia: Robert Kwiatek



Emmanuel Tetteh był ulubieńcem gdańskiej publiczności. Był, bo już pożegnał się z drużyną.

Winna centrala?

- O spadku Lechii/Olimpii zadecydowały dwa walkowery, jakie PZPN przyznał dla GKS Katowice i Lecha Poznań za nieodbyte w Gdańsku spotkania. Oba zespoły zgodnie z sugestią piłkarskiej centrali zamiast do Gdańska, gdzie czekali na nich rywale, udały się do Poznania. Gdyby Lechia/Olimpia dopisać 6 pkt. za wygranie tych spotkań, drużyna znalazłaby się w środku tabeli. Czy panowie w PZPN mają teraz satysfakcję?

ul. Traugutta należą: Piotr Mosór, Piotr Rajkiewicz, Tomasz Unton, Igor Kozioł, Kamil Kowalczyk, Juliusz Kruszanek, Rafał Ruta, Artur Piłat i ulubieniec gdańskiej publiczności, czarnoskóry Emmanuel Tetteh. Drugą tworzyli piłkarze Olimpii Poznań, czyli Piotr Wojdyga, Marcin Ciliński, Sławomir Suchomski, Krzysztof Sadzawski, Adam Grad i Sebastian Nowak, o których losie ma prawo decydować Bolesław Krzyżostaniak. Wreszcie z Lechii pochodzą Dariusz Gładyś, Mariusz Pawlak, Grzegorz Król, Grzegorz Motyka, Tomasz Dawidowski i Marcin Kubsik. Kiedy rozmawiałem z kilkoma z nich, najpierw musiałem wysłuchać całej litanii gorzkich żalów. Trudno nie przyznać im racji. W Gdańsku poczuli się oszukani, wystawieni do wiatru przez miejscowych działaczy. Ba, w końcówce sezonu zawiódł ich nawet „Bolo” Krzyżostaniak, który przestał pokazywać się nad morzem, chociaż zaległości wobec zawodników przekroczyły już miliard starych złotych. Większość twierdziła, że z taką sytuacją jak w Trójmieście, nie spotkała się w swojej sportowej karierze. Żadnego zainteresowania, żadnej pomocy i tylko do kibiców nie można było mieć zastrzeżeń. A przecież - przekonywali - byliśmy w stanie utrzymać się w ekstraklasie. Niech pan spojrzy, z czołowym klubem I ligi, ŁKS, potrafiliśmy wygrać dwukrotnie, w Gdańsku i w Łodzi, aplikując tej drużynie aż siedem bramek. Oczywiście, że pogrzyły nas walkowery, ale chyba jeszcze bardziej marazm gdańskiego środowiska i niezrozumienia dla nas bezsilność w rozwiązywaniu najprostszyc problemów drużyny. Ot, takich chociażby, jak znalezienie boiska do treningów.

- Czy pozostaną w Gdańsku, czy pozostaną w II lidze? - to pytanie stawiałem każdemu z nich. Tylko Wojdyga stwierdził, że chętnie by nad morzem pozostał, ale pod warunkiem oczywiście, że zmieni się sytuacja wokół drużyny. A reszta z armii zaciężnej? Ci z Pogoni Konstancin nie ukrywali, że



Zwycięstwo z Rakowem - to było honorowe pożegnanie się z ekstraklasą.

Winni sędziowie?

W całych rozgrywkach nie podyktowali oni dla Lechii/Olimpii żadnego rzutu karnego. Oto tylko niektóre, udokumentowane na taśmie filmowej TVP, przykłady z ostatnich kilku spotkań rundy wiosennej:

- Lechia/Olimpia - Zagłębie Lubin (12.05). Jacek Granat nie chciał zobaczyć w 44 minucie meczu ręki w polu karnym Mariusza Lewandowskiego z Zagłębia.

- Lechia/Olimpia - Hutnik Kraków (19.05). Mirosław Milewski w 25 min. zignorował zagranie ręką Ryszarda Fudalego z Hutnika w obrębie własnego pola karnego, a w 68 min. niesłusznie podyktował przeciwko gospodarzom rzut wolny pośrodku linii pola bramkowego i zezwolił na jego wykonanie bez gwizdka. W efekcie Hutnik zdobył drugą bramkę.

- Lechia/Olimpia - Górnik Zabrze (26.05). W 42 min.

bramkarz Górnika, Mirosław Warzecha zaatakował od tyłu i przewrócił Tomasza Dawidowskiego. Sędzia Marek Kowalczyk nie reagował.

Arbitrzy bali się dyktować karne dla Lechii/Olimpii, aby nie narazić się władzom PZPN i jego prezesowi Marianowi Dziurówowi. Czy tak?

Marian Środecki, prezes Polskiego Kolegium Sędziów:

- Pomawianie sędziów o zмовę, to świństwo. Chciałbym zobaczyć te filmy. Każde zdarzenie można różnie interpretować. Stanowczo wykluczam jakiekolwiek celowe działania. Prezes Dziurów nigdy nie ingerował w prace PKS i nie wypowiadał się na ten temat. Znam wszystkich wymienionych przez pana sędziów i mogę za ich uczciwość ręczyć. Granat jest drugim naszym najlepszym arbitrem międzynarodowym. Pomyłki zdarzają się jednak nawet najlepszym, co widać choćby na trwających obecnie mistrzostwach Europy.

Zbigniew Kaliński, pełniący funkcję rzecznika prasowego PZPN, sekretarz Ligi Polskiej:

- Zapewniam, że nikogo w PZPN nie cieszy sytuacja, w jakiej znalazło się wybrzeżowe piłkarstwo. Lechia/Olimpia nie ma gdańskiego rodowodu, ale z II ligi spadają trójmiejskie drużyny Bałtyku Gdynia i Polonii Gdańsk. To nie jest dobrze, jeśli na piłkarskiej mapie Polski powstaje biała plama.

Decyzja o walkowerach zapadła zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami. Nie możemy z góry zakładać, że Olimpia wygrałaby oba te mecze, bo na boisku mogłoby być różnie. Nie chcę wchodzić w zawilości prawne, dotyczące sporu, jaki pan Krzyżostaniak prowadzi z PZPN. Prywatnie jest on moim dobrym kolegą. Wybrzeżowemu piłkarstwu zaś życzę jak najlepiej i aby szybko wyszło z kryzysu.

Winni piłkarze?

W polskiej piłce w ogóle tak się ostatnio porobiło, że piłkarz jest niczym chłop pańszczyźniany. Ma swojego właściciela, który decyduje o jego losie. Może go w każdej chwili sprzedać, wypożyczyć, przesunąć do innej drużyny. Sam futbolista ma raczej niewiele do powiedzenia. On ma po prostu słuchać.

Lechia/Olimpia jest tworem, w którym w minionym już sezonie występowali zawodnicy trzech zespołów. Pierwsza grupa, to piłkarze Pogoni Konstancin, czyli „niewolnicy” Janusza Romanowskiego. Do nich przy



Ostatni mecz z Rakowem - ostatni w ekstraklasie.

czą, ile kosztuje ligowy zespół nawet w II lidze. Ode mnie mogą wykupić piłkarzy. Ja z tej spółki jestem gotów odejść.

Kto wie, czy za kilkanaście miesięcy nie będziemy pisali podobnego tekstu o spadku białozielonych do III ligi. Taka jest smutna prawda.

nie



Lechia/Olimpia.

Wielkie spadanie



Oni grają, a trybuny są puste... Na Polonii to była smutna norma.

Dokończenie ze str. 12 - 13

Polonia Gdańsk

Kto sprzedał „Jaskułę” ten zdołował klub

Po wielu chudych latach piłkarze Polonii Gdańsk awansowali w czerwcu ub.r. do II ligi. To była wielka radość na stadionie przy ul. Marynarki Polskiej. Nie ukrywano tam, że Polonia ma aspiracje stać się zespołem numer jeden w Gdańsku, a nawet w Trójmieście. Przecież w tym samym czasie Lechia Gdańsk zegnała się z II ligą. Zatem Polonia pany!

Humory działaczy beniaminka II ligi zepsuł prezent, jaki Gdańskowi zro-

bił Bolesław Krzyżostaniak, przywołując tutaj I-ligową drużynę. Na stadionie Polonii najwięcej w minionym sezonie kibiców było na sparingowym meczu Lechii/Olimpii z gospodarzami. Runda jesienna to była dobra gra gdańskiej drużyny. Najgłośniejsze było o trzech piłkarzach. Dariuszu Jaskulskim, który był prawdziwym dyrygentem drużyny, Mariuszu Piekarskim, o którego papierach na grę w ekstraklasie mówiono od dawna oraz o strzelcu wyborowym Robercie Kugielu, który w rundzie jesiennej aż piętnastokrotnie trafiał do siatki rywali. Nic dziwnego, że pierwszą część sezonu kończyli gdańszczanie w dobrych nastrojach, z zasłużonym poczuciem satysfakcji z dobrej ligowej roboty. W tabeli zajmowali bezpieczne, ósme miejsce, mieli na swoim koncie 23 punkty i ostatnia rzecz, jaka przyszłaby im do głowy, to obawy o swój ligowy byt.

A jednak Polonia spadła. Dlaczego? Mam jasną odpowiedź na to pytanie. Największą winą w tej degradacji obarczyłbym tego, kto zdecydował

o wypożyczeniu do I-ligowego Sokoła Tychy wspomnianego już Jaskulskiego. Bez „profesora Jaskuły”, który kierował grą drużyny, a którego precyzyjne podania otwierały Kugielowi drogę do bramki rywali, Polonia straciła wiele ze swej wartości. Za wypożyczenie Jaskulskiego wzięto 250 mln starych złotych. Znacznie więcej zapłacono za pozyskanego z Bałtyku Gdynia Andrzeja Goleckiego. „Goleś” miał zastąpić „Jaskułę”. Taka była teoria. Praktyka była już zupełnie inna.

Sam Golecki, pytany o powody słabej gry swojej i kolegów, mówił: - Polonia to nie tylko Golecki i naprawdę nie tylko ode mnie zależą nasze wyniki. W drużynie występuje jedenastu piłkarzy. Wszyscy grają słabiej niż jesienią.

Rzeczywiście. Słabość gdańszczan w rundzie wiosennej była zatrważająca. Wydawało się, że przebudzenie może nastąpić po wygraniu wyjazdowego derbowego meczu z Bałtykiem Gdynia. Przebudzenia jednak nie było. Tuż przed końcem sezonu trenera Jerzego Jastrzębowskiemu zastąpił Krzysztof Szkoda. „Magiczna” siła zmiany szkoleniowca wystarczyła tylko na jeden mecz. Później wszystko wróciło do normy. Polonia wzięła udział w trójmiejskim piłkarskim czarnym scenariuszu pod tytułem „wielkiego spadania”.

Co będzie w III lidze? Tę drużynę stać na powrót po roku na zaplecze ekstraklasy. Gdyby jeszcze dało się przekonać „Jaskułę” do powrotu do Gdańska...

Bałtyk Gdynia

Zasada domina

Po rundzie jesiennej gdyniński Bałtyk zajmował 12 lokatę i nie jeszcze nie zapowiadało wiosennej klęski. Podczas przerwy zimowej sprzedano jednak dwóch podstawowych zawodników, Andrzeja Goleckiego i Rafała Klajnszmita.

Zastąpić ich mieli, Aleksander Cybulski i Siergiej Miasnikow.

- Tutaj nawet Maradona nie by nie pomógł - powiedział mi jeszcze zimą zdegustowany Rosjanin po zakończeniu sparingowego meczu z Jeziorakiem Iława (0:4).

Choć sytuacja kadrowa zespołu z Gdyni budziła poważne obawy, pewnym optymizmem napawały zmiany organizacyjne, jakie w klubie nastąpiły w ostatnim czasie. Od początku sezonu drużyną opiekowała się spółka Stocznia Gdynia, Gdynskie Centrum Sportu. Piłkarze mieli zapewnione stypendia, które otrzymywali na czas. Od stycznia obowiązki dyrektora ds. sportu przejął w GCS Janusz Kupcewicz, a zadłużony po uszy SKS Bałtyk postawiono w stan likwidacji.

Sprzedanie Klajnszmita i Goleckiego nie było pierwszym osłabieniem Bałtyku (wcześniej z klubu odeszło 9 zawodników z podstawowego składu), ale przebrało miarę i przesądziło o ostatecznym losie zespołu. Suma piłkarskich umiejętności tych, którzy pozostali w klubie nie pozwalała im podjąć skutecznej rywalizacji z większością drużyn II-ligowych.

Ostatnią próbą ratowania sytuacji była zmiana na stanowisku I trenera. Po przegranych w Gdyni derbach z Polonią Gdańsk 0:2 na ostatnie 10 kolejek zespół powierzono Andrzejowi Szwarcowi.

- Kiedy obejmowałem drużynę, istniał jeszcze cień szansy na utrzymanie zespołu. Argumentów wystarczyło jednak tylko na mecze z Miedzią i Wartą w Namysłowie. Przyczyną spadku była sytuacja organizacyjno-finansowa w klubie, która na zasadzie domina powodowała: okrajanie zespołu z podstawowych piłkarzy, niezabezpieczenie procesu szkoleniowego, nieprzygotowanie piłkarzy pod względem motorycznym i technicznym do wymogów II ligi.

Na inne elementy zwrócił uwagę kapitan zespołu A. Cybulski - Dobili nas nie przeciwnicy z boiska, lecz nie związani z naszym klubem ludzie, którzy pomawiali nas o sprzedanie meczu z gdańską Polonią. Wywołało to niepotrzebny ferment w zespole, jeden na drugiego patrzył podejrzliwie, a to nie sprzyjało współpracy na boisku.

Po spadku należy się liczyć z odejściem kolejnych zawodników. Zostaną wychowankowie i może dwóch, trzech starszych graczy. Przyszedłem tu na zakończenie swojej kariery i jeśli będą jeszcze warunki do treningu, a trener stwierdzi, że jestem potrzebny, to chętnie zostanę.

Janusz Woźniak, Adam Suska, Maciej Polny

Zdjęcia Robert Kwiatek



Gdynia bez II ligi. Derby Bałtyk - Arka odbędą się już „piętro” niżej.

Nadzieja matką... kibiców



Taczki dla działaczy Lechii/Olimpii. Były rezygnacje, taczki pozostały puste.

Kibice tworzą atmosferę na trybunach, dla nich grają piłkarze. W Gdańsku mieliśmy jeszcze w środę piłkarską ekstraklasę. Po ostatniej kolejce spotkań wiemy, że już jej nie mamy. Sympatycy Lechii/Olimpii nie mogą się z tym pogodzić. Za spadek drużyny do II ligi winią klubowych działaczy.

Przed dwoma tygodniami kibice utworzyli komitet protestacyjny, który jeden sukces już osiągnął doprowadził do deklaracji o dymisji dyrektora KS Lechia Gdańsk, Zbigniewa Golemskiego. W miniony poniedziałek sympatycy biało-zielonych zaśpiewali mu chóralne - Żegnaj, żegnaj, bye, bye. Teraz liczą, że Golemski wpłynie na pozostałych członków zarządu.

„DB” rozmawiał z uczestnikami akcji podczas poniedziałkowej pikiety.

- Nie tak dawno jeden z działaczy zaprosił nas kibiców na politechnikę - powiedział Krzysztof Podkówa. - Pytaliśmy czy ktoś w obecnym

zarządzie klubu czy spółki może wyciągnąć zespół z bagna, w jakim się znalazł. Otrzymaliśmy odpowiedź przeczącą. Pytam się zatem na co ci ludzie czekają?

Przewodniczący komitetu protestacyjnego, Tadeusz Dufek: - Nie damy się oszukać. Chcemy, aby wszyscy panowie zrezygnowali z pełnienia swoich funkcji, zarówno GKP Lechia/Olimpia, jak i KS Lechia. Nie zadowolimy się ich deklaracjami, ale musimy to mieć udokumentowane na piśmie. Właśnie działaczy winimy za spadek. Nie mamy pretensji do piłkarzy, którzy i tak dali z siebie wszystko, nie wiedząc czy będą z tego mieli jakiegokolwiek korzyści.

- Jesteśmy kibicami, którym na sercu leży dobro klubu. Przyszedłem dzisiaj, bo nie mogę się pogodzić, że podarowano nam na tacy I ligę, a my nie potrafiliśmy tego wykorzystać. Mówi się o działaczach, ale wina leży także po stronie samych piłkarzy. Wygraliby ze

Stalą Mielec czy Zagłębiem Lubin i byłoby po kłopotach - powiedział Zbigniew „Hugo” Kołtataj.

- Popieram inicjatywę kibiców. Od 20 lat kibicuję Lechii, dlatego przyszedłem na poniedziałkową pikietę. Przyjdę również na następną. Była wielka szansa na utrzymanie na dłuższą I ligę piłkarskiej w Trójmieście, ale nie przy takim bałaganie organizacyjnym, jaki panował. Czegoś takiego nie było chyba nigdy. Dawniej Lechia miała większe poparcie całego społeczeństwa Trójmiasta. A teraz... zawiesił głos Marek Tokarski.

Trudno się nie zgodzić z wypowiedziami sympatyków biało-zielonych i wszystko byłoby w porządku, gdyby po zakończeniu pikiety fani nie pobili członka zarządu, Kazimierza Kuleszy. Na pytanie dlaczego to zrobili, usłyszeliśmy: - Obraził nas i został ukarany.

Pozostawiamy to bez komentarza.

KALENDARZ TARGOWY



19-22.09
SZYK '96



Targi Wyrobów Ekskluzywnych i Upominków

9-12.10
INFO-GRYF '96

V Targi Elektroniki, Telekomunikacji,
Techniki Komputerowej i Art. Biurowych

23-25.10
CARGOTRANS '96

II Międzynarodowe Targi Transportu
i Spedycji

14-17.11
WSZYSTKO DLA DOMU '96

V Międzynarodowe Targi Wykończenia
i Wyposażenia Wnętrz

29.11-1.12
AUTO-SALON KONTYNGENT '97

II Wystawa Motoryzacyjna

6-8.12
**OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA
GOŁĘBI RASOWYCH**

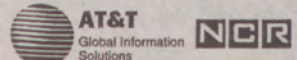
oraz Wystawa Zoologiczna

UWAGA !!!
Międzynarodowe Targi
Szczecińskie poszukują
przedstawiciela regionalnego
na teren Polski północnej.
Zainteresowane osoby prosimy
o kontakt.
tel. (091) 644-401

**MIĘDZYNARODOWE
TARGI SZCZECIŃSKIE**
ul. Struga 6-8, 70-777 Szczecin
tel./fax (091) 644-401

R-3066

AUTORYZOWANY DEALER
BIMIT - MITA
KASY FISKALNE



**sprzedaż
autoryzowany
serwis**

GDĄSK, UL. WAŁY JAGIELLOŃSKIE 24 (II p)
☎ 462-264, 462-689

10004651

AUTORYZOWANY DEALER
BIMIT - MITA

mita
KOPIARKI

**SPRZEDAŻ
AUTORYZOWANY SERWIS
ORYGINALNE MATERIAŁY**

GDĄSK, UL. WAŁY JAGIELLOŃSKIE 24 (II p)
☎ 462-264, 462-689
TEL/FAX 313-516
320-917 CZYNNY CAŁĄ DOBĘ

DO WYNAJĘCIA!!!

Wolna powierzchnia
magazynowa ok. 800 m²
z placem manewrowym
na terenie Tczewa.

Tel. (058) 20-36-55
(058) 23-06-12

10004647/20/7

Schody drewniane

**pomiar, projekt
wykonanie i montaż**

Adres: Wesołowski Włodzimierz
ZUPH Nowotki 6
64-920 Piła
tel. 0-67 13-90-13

10005341/20/23

HURTOWNIA "GALA"

PATRONAT FIRM

• WÓLCZANKA S.A.

(męska, damska)

• VOLTAJ (Importeur wysokiej klasy
odzieży tureckiej)

**ZAPRASZAMY HANDLOWCÓW
I SKLEPY DO WSPÓŁPRACY**

GDYNIA, AL. ZWYCIĘSTWA 12
tel. (058) 22 21 52

R-2880

TELEWIZORY NOWE

HURT także DETAL /RATY/

W	TV PHILIPS 165	21"	ext	1060
Y	TV PHILIPS 166	21"	ext	1150
T	TV SONY	21"	ext	1280
N	TV AKAI	21"	ext	910
I	TV CLATRONIC	14"	ext	545
I	TV CLATRONIC	14"	ext	585
J	TV CLATRONIC	20"	ext	665
J	TV CLATRONIC	21"	ext	775
J	TV RECOR	21"	ext	745
J	TV LEXUS	21"	ext	575
J	TV LEXUS	21"	ext	585
J	TV LEXUS	25"	ext stereo	1170
J	TV LEXUS	29"	ext stereo	1405
J	VIDEO AKAI 420	4 głośnie		815

WIEŻE PHILIPS, SONY, JVC, AKAI, PANASONIC

GWARANCJA ORYGINALNA

PHU TOTAL Gdańsk-Breżno, Chodkiewicza 2A

Tel. 434545, 435888, Pon.-Pt. 10-18, Sob. 10-14

10005341/20/23

ZAMÓW SVOJE WAKACJE!

Wyloty co tydzień LOTem
z Warszawy i Poznania!

KRETA od

799zł 948zł

TUNEZJA od

1 tydz. 2 tydz.
799zł 948zł

MAJORKA od

799zł 948zł

CYPR od

824zł 999zł

CYPR+rejs Izrael-Egipt

1099zł 1348zł

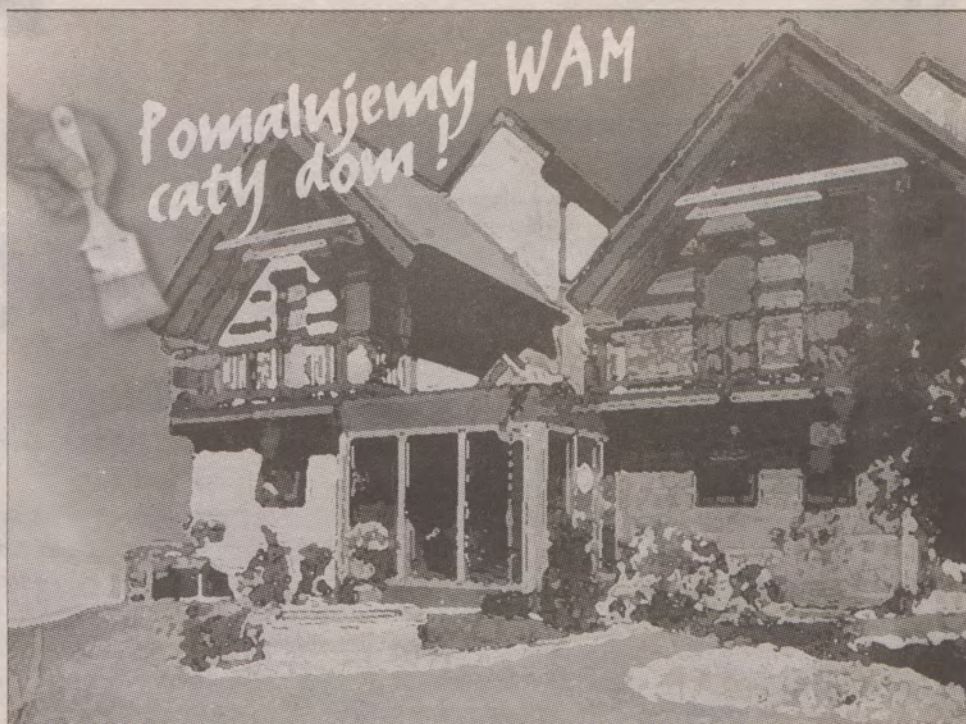
IZRAEL od

1724zł 2299zł

ScanHoliday

Gdańsk, Długi Targ 39/40
tel: (58) 311 779, 313 367

10004024/13



BONDÉX

■ DYRUP ■



**Znajdziesz w dobrych
sklepach chemicznych!**

DYRUP POLSKA

93-231 Łódź, ul. Dąbrowskiego 238

tel. (42) 49-10-17, 49-25-55, fax (42) 49-26-66

R-3046

STUDIUM PODYPLOMOWE HANDLU ZAGRANICZNEGO

Uniwersytet Gdański informuje, że w semestrze zimowym roku akad. 1996/97 organizuje jednosemestralne Studium Podyplomowe Handlu Zagranicznego z zakresu organizacji i techniki handlu zagranicznego oraz marketingu.

Program Studium obejmuje takie przedmioty, jak organizację i technikę handlu zagranicznego, marketing, elementy promocji, metody badań marketingowych, negocjacje handlowe, ubezpieczenia w handlu zagranicznym, rozliczenia międzynarodowe, transport i spedycję, zagadnienia prawne, celne itp.

W Studium mogą uczestniczyć osoby posiadające wykształcenie wyższe. Ilość miejsc: 25. Studium jest płatne.

Zajęcia prowadzone są systemem zaocznym, co dwa tygodnie (piątek w godzinach od 13.00 do 20.00, sobota od 9.15 do 16.15, niedziela od 9.15 do 14.15). Absolwenci otrzymują uniwersyteckie świadectwo ukończenia Studium.

Podania wraz z dokumentacją personalną (życiorys, kwestionariusz osobowy, odpis dyplomu ukończenia studiów wyższych, 1 fotografia, skierowanie z zakładu pracy - w przypadku osób, którym koszty kształcenia pokrywa zakład pracy) należy składać pod adresem: Uniwersytet Gdański, Studium Podyplomowe Handlu Zagranicznego, ul. Armii Krajowej 119/121, 81-824 Sopot, pokój 331.

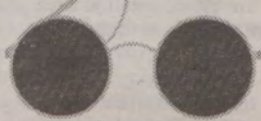
Dodatkowych informacji udzielają: sekretariat Studium, telefon 51-00-61 wew. 1490 i sekretariat Instytutu Handlu Zagranicznego Uniwersytetu Gdańskiego, telefon 51-58-82.

R-2748

MM

OKULARY

Słoneczne z filtrem UV



Posiadamy własny atest

GDĄSK, UL. ABRAHAMA 1 A

52-12-36 w. 45 **tape** p. 304

10005351/309/23

OKULARY SŁONECZNE

najniższe ceny, najwyższe rabaty!

CAMRO OKULARY BĘDĄ PASOWAŁY

od 1957 roku
Camro
PRO STAFF PARTNER

81-810 Sopot, Al. Niepodległości 801B, tel./fax (058) 51 58 36

R-2763

Szczyt na trawniku

Na najbardziej wystawnej kolacji prezydenci jedli potrawy z kuchni Potockich. Na pierwsze danie zupę pluszową, na drugie - kotlety cielęce w papilotach, jako deser podano pieczone jabłko polane czekoladą. Początkowo planowano też upieczenie specjalnego chleba na kwaśnym zaczynie, ale w sumie z tego zrezygnowano, bo trzeba by go nazwać chlebem kwaśnym, co - z uwagi na zbieżność z nazwiskiem polskiego prezydenta - uznano za nie do końca właściwe.

Korespondencja własna ze spotkania prezydentów krajów Europy środkowej w Łańcucie

Gdy do Łańcuta dojeżdża się od strony Przemyśla, miasto ukryte jest w zieleni i trudno się domyśleć, gdzie jest zamek. Kiedy dociera się od strony zachodniej, z kierunku Dębicy, Łańcut widać jak na dłoni. Dojeżdżając od strony północnej, widać tylko wieżę kościoła i jeden z miedzianych hełmów, wieńczących zamek. Od strony południowej jest bardzo podobnie. Natomiast najbardziej interesujący jest widok od strony kuchni...

Prezydent Niemiec, Roman Herzog, podsumowując w gronie niemieckich dziennikarzy wyniki łańcuckiego szczytu, powiedział, iż było to nad wyraz pożyteczne spotkanie, które zasługuje na to, by w przyszłości - już w innym miejscu - je kontynuować. Wśród największych plusów konferencji wymieniał on obecność prezydenta Ukrainy, Leonida Kuczmy, który poszerzył tradycyjny krąg obecnych na obradach. - Poza tym - kontynuował Roman Herzog - dopisała nam pogoda: ani razu nie trzeba było wyciągać parasola. Po raz kolejny miałem też okazję przekonać się, jak znakomita i wykwintna jest polska kuchnia.

Kuchnia hotelowa

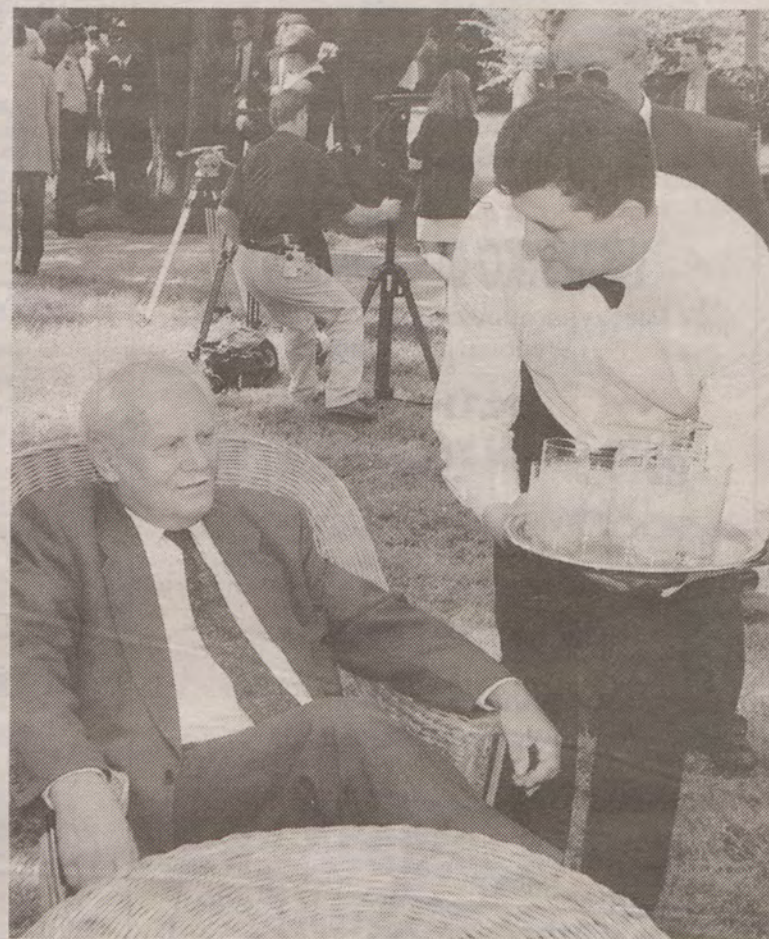
O to, co prezydenci będą jeść na spotkaniu, zaczęto troszczyć się zaraz po tym, jak zapadła decyzja, że szczyt odbędzie się w Polsce. Było to we wrześniu zeszłego roku, można więc powiedzieć, że jadłospis układano całe osiem miesięcy. Główne obowiązki kucharskie spadły na hotel „Budimex”, gdzie prezydentów ulokowano i skąd przewożono ich do zamku w Łańcucie na obrady plenarne oraz na debatę telewizyjną. Kucharskie zastępy „Budimexu” wzmocniono posiłkami z zewnątrz: cukierników sprowadzono z Krakowa, niektórzy kelnerzy przyjechali aż z Warszawy. Początkowo - jak nieoficjalnie szeptano - wywołało to nawet pewne niesnaski i niezadowolone miejscowych, którzy wcale nie uważali siebie za gorszych od tych z Krakowa, czy ze stolicy. W końcu jednak zwyciężył rozsądek

i chęć, żeby przedsięwzięcie wypaliło - żeby wszystko wzorowo przygotować.

Na najbardziej wystawnej kolacji prezydenci jedli potrawy z kuchni Potockich. Na pierwsze danie zupę pluszową, czyli bulion na smaku kurczaka, z małymi knedelkami z kury w kształcie ślimaków. Na drugie były kotlety cielęce w papilotach. Jako deser podano pieczone jabłko polane czekoladą; wszystko zgodnie z przepisem kuchmistrza hrabiego Alfreda Potockiego, Antoniego Teslara. Początkowo planowano też upieczenie specjalnego chleba na kwaśnym zaczynie, ale w sumie z tego zrezygnowano, bo trzeba by go nazwać chlebem kwaśnym, co - z uwagi na zbieżność z nazwiskiem polskiego prezydenta - uznano za nie do końca właściwe.

Kuchnia dziennikarska

Takiej kuchni właściwie nie było, co najwyżej była to kuchnia warsztatowo-logistyczna. Dziennikarzom nie w głowie było zresztą jedzenie, tyle było do zrobienia, zobaczenia, napisania, zrelacjonowania. Co najwyżej, z uwagi na niemożliwy upał, żurnaliści z utęsknieniem wypatrywali wodopoju. Ten znajdował się w bagażnikach prezydenckich ochroniarzy, które naszpikowane były minipaletami z wodą mineralną. Dla żurnalistów były to jednak rewiry niedostępne. Za argument starczyć musiało stwierdzenie, że ochroniarze cały czas tkwią w garniturach (a więc jest im jeszcze ciepło), natomiast dziennikarzom starczy koszula, udekorowana co najwyżej rozluźnionym krawatem.



Prezydent Węgier, Arpad Goencz. Obsługę kelnerską na łańcuckim szczyt ściągnięto ze stolicy.

Fot. PAP/CAF, Damazy Kwiatkowski.

Mieszkańcy dzielnicy Nowe Miasto w Rzeszowie, przez dwa dni szczytu mieli więc niezłe widowisko. Początkowo, na dziennikarzy koczujących na trawniku przed hotelem „Budimex” spoglądali z wyraźnym poczuciem wyższości. Bo na żurnalistów z nieba lał się żar, a oni to samo - a nawet lepiej, bo z góry - widzieli z cienistego, domowego zacisza. To,

że nie było słychać, co mówiono w krótkich oświadczeniach, wygłaszanych po rozmowach bilateralnych prezydentów, nie było dla nich w sumie tak istotne. Bo i tak - ich zdaniem - od początku było wiadomo, że na tym szczycie nic istotnego się nie zdarzy; że nie zapadną tu jakieś wielkopomne, historyczne, decyzje.

Drugiego dnia nastroje się jednak zmieniły. Mieszkańcy blokowiska zaczęli spuszczać z okien domów na trawnik plastikowe butelki z wodą mineralną (co wywołało zrozumiały niepokój ochroniarzy), a nawet zdarzały się zaproszenia dziennikarzy do domu pod zimny prysznic. Podobno sceny „zrzutów” napojów chłodzących, jako swoistą ciekawostkę, przez chwilę pokazywała lokalna telewizja. Natychmiast wywołało to reakcję biura prasowego szczytu w postaci stwierdzenia, że przy następnej tego rodzaju okazji będzie trzeba lepiej zadbać o dziennikarzy...

Kuchnia historyczna

Zamkowa kuchnia z czasów Potockich i Lubomirskich znajduje się w północnym skrzydle zabytkowego kompleksu. Jej usytuowanie było podyktowane kierunkiem przeważających wiatrów (z południa) - chodziło o to, żeby prząsne zapachy nie drażniły na salonach magnackich nosów. Nie jest ona zbyt obszerna - podobnie jak zamkowe łazienki - i w porównaniu z przepychem reszty pałacu skłania do refleksji na temat postępów, jakie przez ostatnie dwa stulecia dokonano tak w dziedzinie higieny, jak i gastronomii. Kuchnię zachowano w takim kształcie, jaki miała 200 lat temu, a konserwator zabytków - nawet z okazji wizyty dziewięciu prezydentów - nie wyraził zgody na jej modernizację. Podobno to był właśnie jeden z powodów, dla których - mimo



Uczestnicy spotkania chronili się przed upałem w cieniu parkowych drzew. W środku prezydent Słowacji, Michal Kováč.

Fot. PAP/CAF, Damazy Kwiatkowski.

wielkiej pokusy - nie zdecydowano się na ulokowanie prezydentów w zamku na stałe, lecz wybrano wariant z ich dowożeniem. Ponadto nikt nie był pewny, czy Błękitna Dama, pojawiająca się ponoć z zaświatów o północy, nie zechce zawrzeć bliższej znajomości z VIP-ami...

Kuchnia medyczna

Na czas prezydenckiego spotkania w stan podwyższonego pogotowia postawiony został szpital w Rzeszowie. Na jego terenie stworzono specjalny oddział przeznaczony dla któregoś z prezydentów, gdyby zaszła potrzeba lekarskiej interwencji. Do miasta, z sąsiedztwa, pościągano odpowiednią liczbę karettek reanimacyjnych. Za nieprzekraczalną zasadę uznano to, że każdemu prezydentowi powinna non stop towarzyszyć co najmniej jedna „erka” wraz z pełną obsługą pielęgniarską i lekarską. Taką samą liczbę karettek zgromadzono w ogrodach zamku w Łańcucie i na zapleczu hotelu „Budimex” w Rzeszowie. Przed przyjazdem do Polski każdy z prezydentów musiał podać swoją grupę krwi, by w banku tkanek zgromadzić odpowiedni jej zapas, a miejscowych lekarzy potraktowano tak samo, jak łańcuckich i rzeszowskich kelnerów. Centrala chyba nie do końca była przekonana o ich kwalifikacjach i na czas szczytu aż z Krakowa ściągnięto anestezjologów, toksykologów oraz internistów. Oficjalne uzasadnienie mówiło, iż chodzi o to, by miejscowych specjalistów nie odciągać od ich normalnych codziennych obowiązków. Słyszałem jednak, że wielu miejscowych lekarzy fakt medycznego „importu” zinterpretowało jako osobisty afront. - Bo jak inaczej można coś takiego zrozumieć? - stwierdził jeden z lekarzy.

Kuchnia anarchistyczna

Na szczycie nie zabrakło też anarchistów. Młodzi ludzie, którzy generalnie są przeciw wszystkiemu, co nie jest anarchistyczne, przyjechali do Łańcuta z Krakowa i z całej Małopolski. Była to może dwustu-osobowa grupka, wyposażona w skórzane kurtki z cekinami, kastety, wygolone głowy i w transparenty. Pierwszego dnia anarchiści próbowali zatrzymać autokar, którym zagraniczni goście podjeżdżali pod główną bramę zamku. W ruch poszły transparenty, a na nich hasła: „Nie dla NATO”, „Kwaśniewski do domu” i „Niech żyje międzynarodowa Solidarność”. Poproszony o krótkie skomentowanie tego zajścia Marek Siwiec z Kancelarii Prezydenta powiedział: - Hasło „Kwaśniewski do domu” da się dość łatwo zrealizować, ponieważ, jak mi wiadomo, prezydent zaraz po odlocie delegacji rzeczywiście ma zamiar udać się do Warszawy. Natomiast, jeśli chodzi o NATO, to pakt w Polsce jest jeszcze, póki co, nieobecny, tak więc anarchistyczny postulat jest już w zasadzie spełniony. Z kolei wezwanie do międzynarodowej „Solidarności” jest dla mnie czymś nowym. Najlepiej, gdyby zainteresowani zwrócili się z nim do zarządu regionu. Ale, podsumowując, można powiedzieć, że generalnie jestem za. Zgadza się z anarchistami. Ich postulaty zostaną uwzględnione.

Roman Warszawski

- Opowiadamy się za rozszerzeniem paktu na Wschód, ale z drugiej strony nie chcielibyśmy stać się krajem buforowym, czy frontowym, gdzieś na obrzeżach świata cywilizowanego, między Rosją a NATO.

- Zaproszenie pana na szczyt do Łańcuta było pomysłem prezydenta Kwaśniewskiego, który w ten sposób chciał zbliżyć Ukrainę do Europy. Czy to zbliżenie się powiodło?

- Jestem bardzo zadowolony, że mogłem przyjechać na to spotkanie i niezwykle sobie cenię zaproszenie, jakie otrzymałem od prezydenta Kwaśniewskiego. Im więcej będzie takich inicjatyw pod adresem Ukrainy, tym lepiej. Pod tego rodzaju działaniami podpisuję się obiema rękoma.

- Czy wyraźny zwrot zainteresowań Ukrainy ku Zachodowi ma związek ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi w Rosji i ich niepewnym wynikiem?

- Nie, to zbieżność całkowicie przypadkowa. Jesteśmy zainteresowani utrzymywaniem dobrych stosunków zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Kontakty wschodnie to tradycyjny kierunek naszych zainteresowań. W porównaniu z nim, zachodnia flanka naszej polityki zagranicznej była dotąd nieco zaniedbana. Teraz - po prostu - przywracamy zachwianą równowagę. W naszym przypadku było nieco inaczej, niż w przypadku Polski. Osobiście bardzo mnie cieszy, że Polska ma w tej chwili lepsze stosunki z Rosją niż jeszcze do niedawna, ponieważ na pewno wpłynie to pozytywnie na klimat w skali całego kontynentu.

- Kto jest pańskim faworytem w rosyjskich wyborach?

- Nie jest żadną tajemnicą, że sukcesu życzymy Borysowi Jelcynowi. Jelcyn, podobnie jak ja, uważa, że procesy, które obecnie zachodzą w Europie, są czymś nieodwracalnym. Gdyby chcieć je negocjować, może dojść do trzęsienia ziemi, które swoim zasięgiem obejmie i Ukrainę. Zresztą nie tylko ją. Polskę także.

- Tym trzęsieniem ziemi miałby być wybór Ziuganowa?

- Tak, ale oprócz Ziuganowa w Rosji są jeszcze inni. Na przykład Żyrinowski, który - czego nie powinniśmy zapominać - nogi chce umyć w jednym morzu...

- Jak ocenia pan sytuację, która aktualnie panuje na Białorusi?

- Mówiłem już wielokrotnie, że to, co dzieje się na Białorusi, to sprawa tamtejszego narodu i tamtejszego prezydenta. Nie chcemy ingerować w wewnętrzne sprawy tego kraju, ale tego, co się tam dzieje, na pewno nie pochwalamy. Gdybym postępował tak jak prezydent Łukaszenka, na Zachodzie byłoby tylko niewiele osób, które chciałyby ze mną rozmawiać. Najprawdopodobniej nie byłoby mnie także tu, w Łańcucie.

- A jak duży jest - pańskim zdaniem - dystans, który dzieli Ukrainę od upragnionej Europy?

- Pod względem geograficznym jesteśmy krajem środkowoeuropejskim; co do tego nie ma wątpliwości. Nasz dystans od Europy mierzymy jednak przede wszystkim w kategoriach ekonomicznych. Wielkość opóźnień oddają nasze potrzeby w dziedzinie wymiany handlowej z zagranicą. W minionym roku nasze obroty w handlu zagranicznym wynosiły zaledwie 250 mln dolarów, w roku bieżącym wielkość ta zostanie podwojona. Ale nasze faktyczne potrzeby wynoszą około 40 mld rocznie. Nie ukrywam, że bardzo liczymy na większe niż do tej pory zaangażowanie się kapitału polskiego na



Leonid Kuczma, prezydent Ukrainy, był oblegany przez dziennikarzy. Fot. PAP/CAF, Damazy Kwiatkowski.

Trzęsienie ziemi w zasięgu ręki

Z prezydentem Ukrainy, Leonidem Kuczmą, rozmawia Roman Warszawski

Ukrainie. Te 40 mld dolarów rocznie naszych potrzeb, to właśnie miara dystansu, jaki dzieli nas od Europy.

- Między Polską i Ukrainą istnieje blisko sto umów bilateralnych. Często można jednak odnieść wrażenie, iż tylko niewielki ich procent funkcjonuje w praktyce.

- Ja też niekiedy mam takie wrażenie, ale gdyby rzeczywiście było tak źle jak pan mówi, Polska na pewno nie byłaby w czołówce naszych gospodarczych kontrahentów. Mimo to, w naszych stosunkach jest jeszcze wiele absurdów. Wiem, że zdarza się i tak, że kupujemy i sprzedajemy swoje towary, korzystając z pośredników w Hongkongu.

- Duże rezerwy tkwią na przykład w aktywizacji współpracy na obszarach przygranicznych. Czy dojdzie kiedyś do tego, że trasa Lwów-Przemysł będzie ważniejsza od trasy Kijów-Warszawa?

- Myślę, że jedno wcale nie wyklucza drugiego. Na jednej i na drugiej trasie jest bardzo wiele do zrobienia.

- Nie obawia się pan tendencji separatystycznych, jakie pojawiają się na Ukrainie? Czy nie są one właśnie tym zjawiskiem, które może zakłócić marsz Ukrainy ku Europie?

- Domyślam się, że chodzi tu o ewentualny rozłam na Ukrainie Zachodnią i Wschodnią, która wykazuje wyraźne ciążenie ku Rosji. Powiem szczerze, że nie obawiam się tego z nadmiarem. Separatyzm jest w tej chwili czymś powszechnym.

Ostatnio pojawiły się takie tendencje nawet we Włoszech i Teksasie. Owszem, zwracamy na ten fenomen uwagę, ale go nie demonizujemy. Separatyzm to jeden z najpoważniejszych problemów, z którymi w chwili obecnej musi poradzić sobie świat.

- Jakie jest stanowisko Ukrainy wobec planów rozszerzenia NATO? Na ten temat powstało wiele nieporozumień...

- Opowiadamy się za rozszerzeniem paktu na Wschód, rozumiemy, że dla takich państw, jak Polska, jest to kwestia bardzo żywotna. Ale z drugiej strony nie chcielibyśmy stać się krajem buforowym, czy frontowym. Nie chcemy znaleźć się poza nurtem głównych zdarzeń na kontynencie, gdzieś na obrzeżach świata cywilizowanego, między Rosją a NATO. W dłuższej perspektywie taki stan byłby niekorzystny nie tylko dla Ukrainy, ale dla całej Europy. Liczymy, że w tej kwestii Polska stanie się rzecznikiem naszych interesów.

- Czy Ukraina ma jakąś szczególną rolę do odegrania w Europie?

- Cała Europa środkowa ma pewne posłannictwo do spełnienia. My, w tej części kontynentu, jesteśmy po prostu bardziej wyczuleni na zagrożenia, jakie mogą pojawić się w przyszłości. Wynika to z faktu, że w przeszłości los nas srożej doświadczał niż innych. Dlatego, gdy mówimy o przyszłości i ewentualnych niebezpieczeństwach, Zachód powinien nas słuchać ze szczególną uwagą.

Zwierzyłam się z tego tacie, gdy miałam 14 lat - mówi Cristina. - Powiedział, że to jest ciężki zawód dla mężczyzny, a co dopiero dla kobiety. Kiedy więc skończyłam szkołę, zaczęłam pracować w salonie fryzjerskim, ale tak nienawidziłam tej roboty, że znowu postanowiłam porozmawiać z rodzicami. Miałam już wtedy 18 lat, więc zrozumieli, że to poważna sprawa.

Corrida jest jej pasją

W pięć lat później Sanchez zadebiutowała uroczystie jako matador na arenie rzymskiej w Nimes. W lipcu ubiegłego roku została wyniesiona z madyckiej areny - uważanej za największą na świecie - na ramionach wiwatującego tłumu. Stała się też najwyższą notowaną „novillera” (nowicjuszka) w Hiszpanii i zyskała dużą popularność wśród publiczności. „Ona może się wydawać krucha i wątła, ale jej pchnięcia szpadą są energiczne, zdecydowane i mocne” - pisał Fernando Bermejo, recenzent walk byków w „El Mundo”.

Po wybitnych osiągnięciach w Ameryce Łacińskiej i w Hiszpanii na początku tego roku, Sanchez uznała, że jest gotowa stanąć do „alternativa”, czyli oficjalnego pasowania na matadora de toros, w czasie którego będzie po raz pierwszy walczyła z bykami „wagi ciężkiej” do 600 kilogramów. „Alternativa” jest normalną walką byków - bierze w niej udział trzech matadorów i sześć byków - z tą tylko różnicą, że pierwszy matador, weteran walk, odstępować prawo zabicia byka nowicjuszowi, ofiarowując jemu lub jej mulete i miecz jako symbol inwestytury.

Poza areną, Cristina nie ma w sobie nic z matadora. Ubrana z elegancją i prostotą, bardzo kobieca, z rozpuszczonymi blond włosami, wyprostowana i pogodna, porusza się raczej jak tancerka, a nie jak pogromczyń zwierząt.

Biorąc pod uwagę, jak bardzo męski jest zawód torreadora, byłoby dziwne, gdyby Sanchez nie spotykała się z zawścią. Orson Welles twierdził, że kobiety nie powinny być torreadorami. „Nieprzyjemny jest widok ładnej dziewczyny, która wystawia na pośmiewisko nasze męskie roszczenia” - pisał.

W Hiszpanii kobiety zyskały prawo walki z bykami na równi z mężczyznami dopiero w 1974 roku (przedtem wolno im było walczyć jedynie konno). Od tego czasu dwa tuziny kobiet uczyły się w szkołach walki byków, ale tylko Sanchez ukończyła jedną z nich jako doskonałą profesjonalistkę i gwiazdą swojej generacji.

Poza areną

Cristina Sanchez mieszka z rodziną w Parla, osiedlu położonym na południe od Madrytu. Ma trzy siostry - najstarsza, zamężna, pracuje w biu-



Fot. PAP/CAF

Cristina Sanchez

- pierwsza w Europie kobieta torreador

Taniec dziewczyny i byka

rze, druga w perfumerii, a trzecia jeszcze chodzi do szkoły. Ojciec, Antonio, jest „banderillero”, czyli tym, który wbija szpady w grzbiet byka. Gdy Cristina nie walczy, zaczyna dzień od spania łóżek, a potem wykonuje swe rutynowe ćwiczenia - bieg i gimnastykę. Po południu ma zajęcia praktyczne z ojcem na miejscowej arenie. O dziewiątej wieczorem wraca do domu na kolację, a o jedenastej kładzie się spać. Dla relaksu słucha muzyki flamenco. Najczęściej jednak spędza wolny czas oglądając walki byków na wideo albo czytając specjalistyczne pisma. Nie pije ani nie pali, rzadko gdzieś chodzi i nie ma żadnego chłopaka. „Trzeba z wielu rzeczy zrezygnować - przyznaje. - Trudno jest poznawać ludzi. To mnie nie martwi. Znam kogoś przez jeden dzień i na tym koniec. Miłość nie przychodzi,

gdy się jej szuka. W każdym razie największą przyjemnością nie jest dla mnie dyskoteka. Wolalabym leżeć na kanapie, oglądać wideo, zjadać pizzę i chrupki i popijać coca-colę. Albo pójść na plażę. Ale nie pamiętam już, kiedy miałam dzień wolny”.

24 tysiące dolarów za walkę

Sanchez spędza większą część roku w podróży, w lecie po miastach Hiszpanii, a zimą w Ameryce Łacińskiej. W dniu walki zjada lekki lunch i wypoczywa zanim zacznie się przebiegać na corride. To co dla widzów jest najstraszniejsze - podchodzenie do 500-kilogramowego byka - dla niej jest najlepszą częścią jej zawodu. „Gdy stoimy naprzeciw siebie, liczy się tylko, jak się przeprowadzi walkę. Byka nie obchodzi, jakiej płci jest matador i ile

mu płacą”. Najgorsze dla Sanchez jest to, że wszystkie oczy są w nią wpatrzone i wszyscy oczekują dla niej sukcesu. „To tak jakbym chodziła z flagą z napisem: kobieta torreador. Czasami prasa jest zbyt natrętna. Wtedy wkładam kapelusz i ciemne okulary i znikam na cały dzień”.

Dzień triumfu w Madrycie w ubiegłym roku był dla niej dniem najszcześniejszym. Od tego czasu kieruje nią Simon Casas, młody francuski wychowawca i przedsiębiorca, który przyczynił się do wznowienia walki byków w południowej Francji w połowie lat 80. Prowadzi on program w Nimes, gdzie znajduje się najbardziej prestiżowa arena we Francji i gdzie młode gwiazdy hiszpańskie stawiają swoje pierwsze kroki.

Casas układa rozkład walk Cristiny i uzgadnia jej honora-

ria. Obecnie płaci jej 24 tysiące dolarów za walkę - trzykrotnie więcej niż otrzymuje większość nowicjuszy. Jedną trzecią tego idzie na opłacenie kosztów walki.

Sanchez podkreśla jednak, że chodzi jej nie tylko o pieniądze, ale i o zadowolenie. „Jedyną moją słabością są sukienki i... zegarki. Po prostu przepadam za zegarkami” - na rękę ma zegarek Cartiera.

Nie wybiega za daleko w przyszłość. Po debiucie będzie musiała potwierdzić swoją rangę jako matador i przystosować się do byków wagi ciężkiej w corridach w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej. Przez ten czas będzie musiała udoskonalić swoje uderzenia szpadą. „Ona ma mentalność mistrza - mówi Casas. - Ma odwagę, technikę i wielką sztukę. Ale torreador może się w każdej chwili załamać”.

Co przyniesie przyszłość?

Sanchez zdaje sobie jednak sprawę, że jeśli zechce założyć rodzinę, trzeba będzie zrezygnować z kariery torreadora. „Dobry torreador mężczyzna walczy do 40 lat. Ja nie mogę, bo w tym wieku trudno jest mieć dzieci, ale ja chcę sama wychowywać moje dzieci”. Podkreśla jednak, że chciałaby nadal pracować w środowisku torreadorów, jako nauczycielka lub wychowawca. A co będzie, jeśli za 15 lat jej własna córka zechce wstąpić na arenę? „Dobrze, dobrze - odpowiada Cristina, uśmiechając się. - Nie ma problemu. Będę ją uczyła. Ale na początku powiem jej to samo, co powiedział mi mój ojciec! Jeśli nie jesteś gotowa poświęcić wszystkiego innego, zapomnij o tym”.

Ewa Morka

Piękny i ponury dwór stoi na szczycie niewielkiego wzgórza. Chociaż przewieziono go tu ponad dziesięć lat temu, jego wnętrza nie obejrzał jeszcze żaden turysta. Wisi nad nim mnichów...

Kłątwa

Świetnie zachowany polski dwór z przełomu XVI i XVII wieku był wykorzystywany przez strażaków. Urządzono tu remizę i żadnemu z mieszkańców Bochni nie przyszłoby do głowy, że dwór mógłby służyć czemuś innemu. W sobotnie wieczory obetonowane ściany odbijały dudniącą muzykę i chrapliwe wrzaski. Nikt dokładnie nie pamiętał co było tu przedtem. Według opowiadanej we wsi legendy dwór zbudowano dla mnichów, którzy mieszkali w nim przez ponad dwa wieki. Byli to kanonicy regularni laterańscy, dlatego jednak ulokowali się w centrum wsi, za bardzo się nie zastanawiano.

Do czasu...

Dziesięć lat temu w okolicie Bochni wybrał się profesor Dutkiewicz, konserwator z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zachwycił go stary dwór, tym bardziej, że zabytek ostał się w idealnym stanie. Szybko powzięto decyzję. Konserwatorzy zaczęli badać budynek centymetr po centymetrze i wtedy okazało się, że cały zrobiony jest z drewnianych bali, zaś na jednej ze ścian widnieje przedziwne malowidło.

- Rysunek był tak ciekawy, że zaczęto go natychmiast odsłaniać - opowiada Leszek Słowik, pracownik Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, który przygotowywał dla dworu plan prac konserwatorskich. - Powoli zdejmowali ze ściany tynk, aż ukazała się niewielka metalowa tabliczka. Wryty na niej napis zaskoczył wszystkich, zawierał bowiem prośbę, aby pod groźbą klątwy nie odsłaniać malowidła... Nikt się tym oczywiście nie przejął i po kilku dniach obraz ukazał się w całej okazałości.

Miał około trzech metrów wysokości i osiem długości. Przedstawiał kilku mnichów w habitach ale z odsłoniętymi twarzami. Wszyscy

z przerażeniem

spoglądają przed siebie, jakby w stronę patrzącego na obraz. Na ich obliczach maluje się strach i cierpienie, osłaniają się przed czymś lub przed kimś rękoma, jakby się bronili.

- Jakby zobaczyli diabła - mówi Leszek Słowik. - Wszystko utrzymane jest w ponurych barwach, w brązach, szarościach i czerniach.

Jeżeli malowidło obrzucono klątwą, to znaczy, że zatynkowali je jeszcze mnisi. Po kasacji zakonu dwór przekazano gminie. Kiedy odnalazł go profesor Dutkiewicz, ze względu na zabytkowe, jak oceniono - XVIII - wieczne malowidło - dwór postanowiono przenieść do skansenu. Policzone każdą belkę i pokawałkowany budynek przewieziono do Nowego Sącza. Wtedy się zaczęło...

Po dwóch tygodniach profesor Dutkiewicz podczas konserwacji kościoła w Olkuszu spadł z rusztowania. Najdziwniejsze było to, że po tym rusztowaniu chodziło kilkadziesiąt osób i nigdy nic się nie stało, profesor również znalazł tu każdy kawałek deski. Potem z klątwą zaczęto wiązać zgony kilku członków ekipy konserwatorskiej...

Dwór umieszczono w centralnym miejscu skansenu, na niewielkim wzgórzu, gdzie wygląda szczególnie pięknie. Niestety, zabytek jakby żył, ciągle sprawia jakieś problemy. Najpierw, nie wiedzieć dlaczego po prostu pękł, później zaczął podmakać. Nikt w to nie chciał wierzyć, bo stoi przecież na wzniesieniu. Ciągłe kłopoty sprawiają, że od dziesięciu lat nie wszedł do niego żaden turysta. Czyżby to wszystko

sprawa klątwy?

Czego przestraszyli się mnisi i dlaczego swój strach postanowili uwiecznić na ścianie swojego dworu? Przed czym chcieli przestrzec kolejnych mieszkańców? Czy zgony kolejnych konserwatorów i kłopoty z dworem to sprawa klątwy czy przypadek?

Malowidło jest ciągle w dobrym stanie - mówi Leszek Słowik.

Ewa Malicka

Mimo to nie reprodukuje go, aby nie narażać naszych Czytelników na ryzyko. Klątwy mnichów na łamach...

Red.

Listy

Nic prócz formatu!

Z zadowoleniem przyjąłam ukazanie się „Rejsów” w mniejszym formacie. Mały format jest na pewno wygodniejszy i nie izoluje czytającego na tyle od otoczenia, żeby nie był w stanie oderwać się w odpowiednim momencie od czytania, jeśli tego wymaga dobra atmosfera domu. To, że przy czytaniu dużej płachty mogą zdrętwieć ręce, również jest powodem do zmiany. Dlatego proszę: nie zmieniajcie nic prócz formatu!

Jeśli wolno mi mieć jakieś życzenie, to chciałabym mniej krzyżówek. Natomiast chętnie widziałabym odcinki z jakiejś trudno dostępnej, dobrej książki. Mam na myśli np. „Ziemie Ulro” Czesława Miłosza, której w żadnej bibliotece nie mogłam dostać, w księgarniach od dawna jej nie ma. Korzystając z obecności autora tej książki na Wybrzeżu, pragnę za Państwa pośrednictwem prosić o wznowienie tej pozycji.

I jeszcze - warto pisać o ludziach, którym coś się w życiu udało, nie tylko dlate-

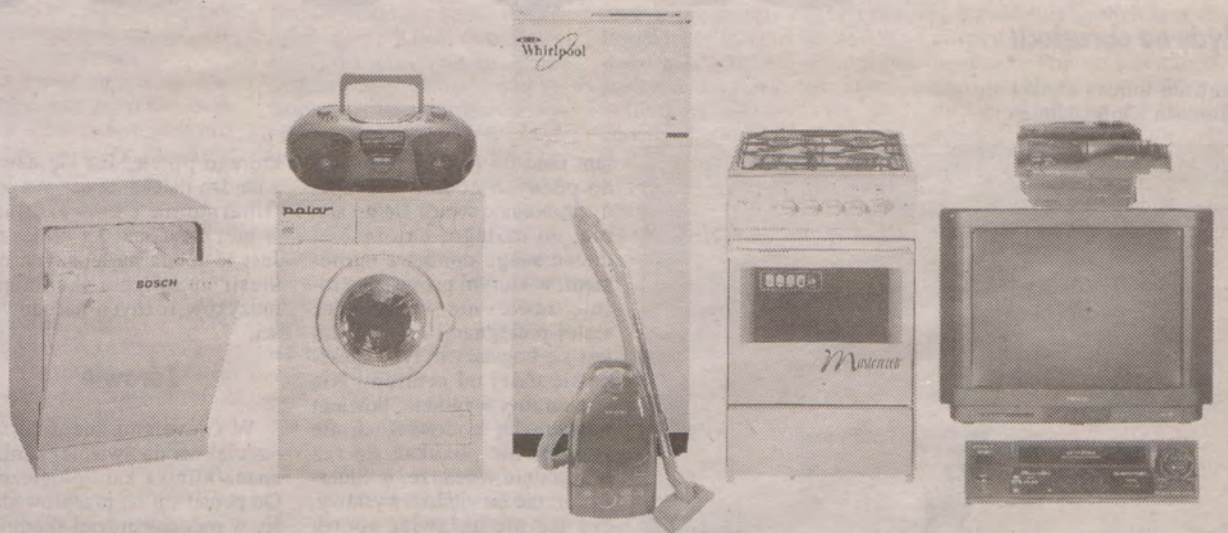
go, że mieli większe szczęście od innych, ale głównie dzięki ich niezwykłej osobowości i gotowości do służenia innym, jeśli czują się do tego powołani. Bo przecież nie wystarczy być dobrym dla własnej rodziny; być przykładem dla innych, mniej szczęśliwych ludzi, to też wiele. Jak do tychczas, „Rejsy” nie miały trudności z odnajdywaniem takich ludzi.

Zyczę powodzenia
Helena Sobolewska
Gdyni

Od redaktora:

Dziękujemy pani Helenie Sobolewskiej za wypowiedź i życzenia. Nie komentujemy ich, a zgodnie z deklaracją sprzed tygodnia - wysłuchujemy. Liczymy też na kolejne listy naszych Czytelników. O kształcie „Rejsów”, o materiałach w nich zamieszczanych, o wszystkim co cieszy lub irytuje. Jak się rzekło, najciekawsze wypowiedzi będziemy drukować. Co widać.

TANIO!



RTV EURO AGD

EURO W CENTRUM HANDLOWYM ETC, Zaspa Al. Rzeczpospolitej 33
telefon 46 77 87 w. 241

pon.-sob. 9-21, niedziela 11-20

RATY BEZ ŻYRANTÓW!

10% PIERWSZA WPLATA!

TRANSPORT BEZPŁATNY!

Podróże

W tym roku Cleveland - stolica amerykańskiego stanu Ohio obchodzi 200-lecie swojego istnienia. Położone u ujścia rzeki Cuyahoga, nad jeziorem Erie stanowi ponad milionową aglomerację. Dwadzieścia lat temu władze Gdańska i Cleveland podpisały układ o wzajemnej współpracy w ramach tzw. miast partnerskich. Uroczystości rocznicowe będą trwały przez cały lipiec. Dzień prezentacji 17 miast bliźniaczych, w tym i Gdańska przypada na 19 lipca.

do połowy XVIII w. tereny wokół rzeki Cuyahoga zamieszkiwali Indianie. Nazywano je rajem lub zachodnim rezerwatem. W 1626 r. do plemion Indian Mohawk dotarł francuski misjonarz ojciec La Roche Daillon. Około 1760 r. przy ujściu rzeki powstała osada białych emigrantów. W czerwcu 1796 r. do osadników dotarł generał Moses Cleaveland, wysłannik amerykańskiego rządu, który na przełomie czerwca i lipca nadał osadzie prawa miejskie. Od jego nazwiska powstało Cleveland. W XIX w. miasto stało się szóstą co do wielkości amerykańską metropolią. Dziś jest dwudzieste drugie wśród największych miast USA.

kłady przemysłowe, towarzystwa ubezpieczeniowe... Starej, osiemnasto, czy dziewiętnastowiecznej zabudowy jest niewiele. Przeważa architektura XX wieku o konstrukcji żelbetonowej ze szklanymi elewacjami. Nad jeziorem rozlokował się port, do którego zawi-

Bliźniak Gdańska

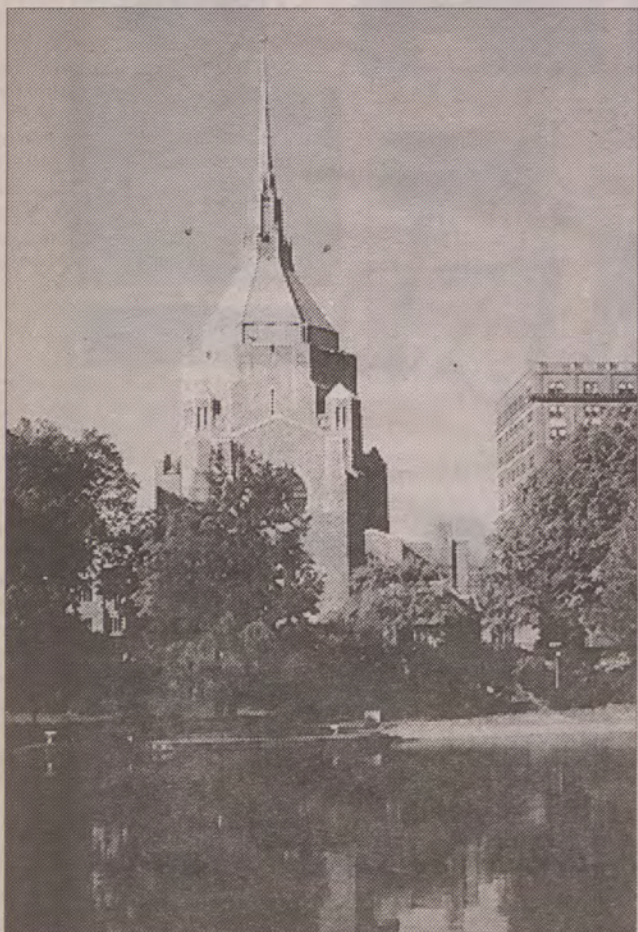


Clevelandzkie downtown nocą.

Cleveland

Życie na obrzeżach

Centrum miasta składa się z kilkunastu i kilkudziesięciu-



Kościół Metodystów w dzielnicy uniwersyteckiej.

piętrowych wieżowców. Mieszczą się w nich najróżniejsze instytucje: banki, sądy, policja, wydawnictwa, biura związane z władzą miejską i stanową, sklepy, hotele, za-

jają statki pełnomorskie, nawet z Polski. Obok znajduje się lotnisko i rafineria.

W downtown, czyli centrum, poza bezdomnymi, nikt nie mieszka. Przyjeżdża się

tam rano do pracy i pozostaje do późnych godzin wieczornych. Na noc wraca się do siebie, do małego, najczęściej drewnianego domku z ogródkiem, w którym przeważnie rośnie trawa i nie wymagające stałej pielęgnacji drzewa. Im jest się bogatszym, tym mieszka się dalej od centrum. Nie jest to zbyt wygodne, bowiem w pewnych środowiskach nie wypada nie pokazać się raz w tygodniu w teatrze, w filharmonii, nie odwiedzić wystawy, czy też nie uprawiać sportu w jednym z klubów fitness.

Grupy narodowościowe, a jest ich w Cleveland kilkadziesiąt, mają swoje dzielnice. Jest więc dzielnica włoska, murzyńska, żydowska, chińska... i polska z centralnie usytuowanym, neogotyckim kościołem p.w. św. Stanisława.

Instytucje kulturalne

Kilka minut jazdy samochodem od downtown (5 mil na wschód od centrum) znajduje się dzielnica uniwersytecka. W wielu tamtejszych instytucjach, jest ich około 70, koncentruje się życie kulturalne miasta. Tam bowiem, oprócz budynków z salami wykładowymi, znajduje się kompleks muzeów. Interesującymi i cennymi zbiorami może się poszczycić Muzeum Sztuki założone w 1916 r. Zebrano w nim sporą kolekcję sztuki azjatyckiej i sztuki z Europy doby średniowiecza. Jednak za miejsce, do

którego przyjeżdża się nawet z bardzo daleka, uznawana jest filharmonia i koncertująca w niej clevelandzka orkiestra. Jest to jedna najlepszych orkiestr na świecie skupiająca muzyków różnych narodowości.

Zdrowie

W Cleveland znajduje się największa na świecie, bardzo znana klinika kardiologiczna. Od ponad stu lat przeprowadza się w niej najbardziej skomplikowane operacje, ratując życie setkom tysięcy osób. Obecnie rocznie leczy się w niej 20 tys. pacjentów.

Niedaleko kliniki znajduje się Muzeum Serca, gdzie wyeksponowano XIX-wieczną aparaturę i instrumenty medyczne. Amerykanie przywiązują dużą uwagę do zdrowia człowieka. Profilaktykę oraz edukację na temat zdrowego trybu życia wprowadzają już u przedszkolaków. Z myślą o dzieciach i młodzieży stworzyli znakomite Muzeum Zdrowia (bilet wstępu dla dorosłych kosztuje 3,50 dol.). Prowadzi się w nim lekcje przynajmniej raz w roku dla każdej szkoły i poszczególnych w niej klas. Specjalnie przygotowani do tego wykładowcy opowiadają (dostosowując do poziomu nauczania) o zdrowiu, prezentując na ekspozycjach różne przypadki zachorowań. Mówi się o zębach, o uszkodzeniach jakie wywołują narkotyki, o sercu, o seksie i o aids.

Cleveland nie zalicza się do najatrakcyjniejszych turystycznie miast północnej Ameryki. Natomiast jeśli się już dotrze do Stanów, warto je odwiedzić, chociażby dlatego, że około 10 proc. jego mieszkańców ma polski rodowód. Może właśnie dlatego ludzie w tym mieście są życzliwiej nastawieni do przybyszów z Europy centralnej niż przeciętni Amerykanie.

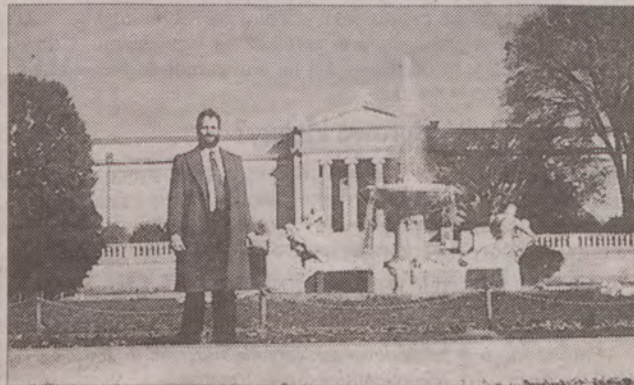
Informacje praktyczne

Podróż do Cleveland nie jest tania. Bilet na samolot w obie strony kosztuje ok. 920 dol. W mieście znajduje się ponad 60 hoteli, w których za nocleg płaci się od ok. 40 dol. wwyż. Taniej można przenocować w schroniskach młodzieżowych i hotelach YMCA. Jedzenie, poza restauracjami, w USA jest tanie. Zdarza się, że za produkty kupowane

w dużych supersamach płaci się mniej niż w Polsce. Komunikacja funkcjonuje wyłącznie w mieście. Bilet w centrum na tzw. linię wahadłową kosztuje 30 centów, na dłuższych trasach 1,25 dol. Do dzielnic na obrzeżach oraz do miejscowości satelitarnych dojeżdża się własnym samochodem.

Dla turystów uruchomiono kilka specjalnych telefonów, za które nie płaci się Informacja dla odwiedzających - (nr kierunkowy Cleveland 216) 1-800-321-1004; ogólna informacja - 1-800-321-1001; informacja turystyczna - 1-800-321-1004. Dla turystów przygotowano specjalne oferty zwiedzania miasta statkiem, autobusem, pieszo. Do większości muzeów na terenie Cleveland za wstęp nie płaci się. Bilety do teatrów, opery i filharmonii są bardzo drogie. Najtańszy kosztuje ok. 50 dol.

Tekst i zdjęcia Maria Giedz



Muzeum Sztuki.

Stare Przedmieście



Wędrówkę po Starym Przedmieściu rozpoczynamy od Bramy Nizinnej.

Fot. Maciej Kostun

Naszą wędrówkę po Starym Przedmieściu radzę rozpocząć od Bramy Nizinnej. Dotrzemy tu przemierzając ulice: Okopową, Augustyńskiego, Pod Zrębem i Dolną Bramę.

Wzniesiona w roku 1626 Brama Nizinna jest dziełem gdańskiego fortyfikatora i budowniczego Jana Strakowskiego. Po obu jej stronach wznoszą się dobrze zachowane bastiony: św. Gertrudy i Żubr, u podnóża których optów Motławy tworzy szeroką fosę. Piękna stara budowla jest jedyną w Gdańsku bramą, pod którą wciąż przejeżdżają pojazdy. To istny cud, że od dziesiątków lat nie konserwowana, jeszcze nie runęła.

Mniej szczęścia miała pobliska średniowieczna baszta Pod Zrębem, której ruina, niczym wyrzut sumienia przypomina o grzechu zaniedbania, popelnionym przez gospodarzy obiektu. Runęła w latach osiemdziesiątych, i jak dotąd nikt nie kwapi się, by ocalić przynajmniej to, co z niej jeszcze zostało, nie mówiąc już o odbudowie zabytku z 1490 roku.

Zwiedzając tę część miasta udajmy się teraz koniecznie ku Kamiennej Słuzie. Prowadzi ku niej ulica nosząca nazwę Grodzia Kamienna. Sama słuza jest jedynym w swoim rodzaju zabytkiem nad Motławą. Tworzą ją dwie równoległe względem siebie grodze z ciosanego kamienia. Dodatkowo zdobią je cztery okrągłe także kamienne wieżyczki. Głównym zaś elementem słuzy są wielkie wrota wodne, służące do regulowania poziomu wody w otaczających pobliskie wały i bastiony fosach.

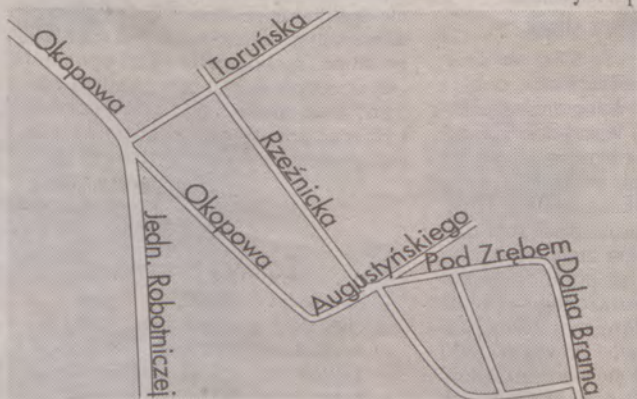
Tuż przy Kamiennej Słuzie stworzonej w latach 1619-24 przez znakomitych holenderskich inżynierów, Wilhelma Jansena Benninga i Adriana Olbrantsa, jeszcze przed wojną istniał młyn wodny wyposażony w trzy koła. Cieszy fakt, że właśnie trwają intensywne prace nad ratowaniem poważnie zdewastowanej słuzy. Kto wie, może znajdą się też środki na odbudowę pięknego niegdyś i legendą owianego młyna. Cały kompleks, o którym mowa stałby się wówczas nie lada atrakcją.

Zarówno gdańszczanie, jak i przyjezdni bardzo chętnie odwiedzali niegdyś Stare Przedmieście. Jedni po to, by ze szczytu Bastionu Żubr (dawniej Babim Dołem zwanego) podziwiać panoramę Gdańska oraz okolice Olszyny przypominającą wiosną i latem jeden wielki ogród. Inni, by przy placu Wałowym nacieszyć wzrok budowlami w rodzaju tzw. Ma-

łej Zbrojowni - dawnego arsenału wzniesionego w latach 1643-45 przez Jana Strakowskiego (syna Jana). Godna obejrzenia jest też późnośredniowieczna Baszta Biała, w której wnętrzu zachowały się niedawno dopiero odkryte malowidła ściennie sprzed czterech bez mała stuleci.

Stare Przedmieście to również wspaniałe gotyckie świątynie, a mianowicie kościoły św. Trójcy wraz ze św. Anną oraz św. Piotra i Pawła. To dawny kalsztor ojców franciszkanów, w którego murach urządzono w wieku XVI sławne gdańskie Gimnazjum Akademickie, Bibliotekę Miejską (Biblioteka Gdańska PAN) właśnie świętującą czterechsetlecie swojego istnienia, a w wieku XIX powstało tu także Muzeum Miejskie (dziś Narodowe). Zwiedzenie wszystkich tych obiektów zajmie nam jednakże o wiele więcej czasu aniżeli ten, który zarezerwowaliśmy na dzisiejszą przechadzkę. Dlatego też wkrótce tu powrócimy.

Jerzy Samp



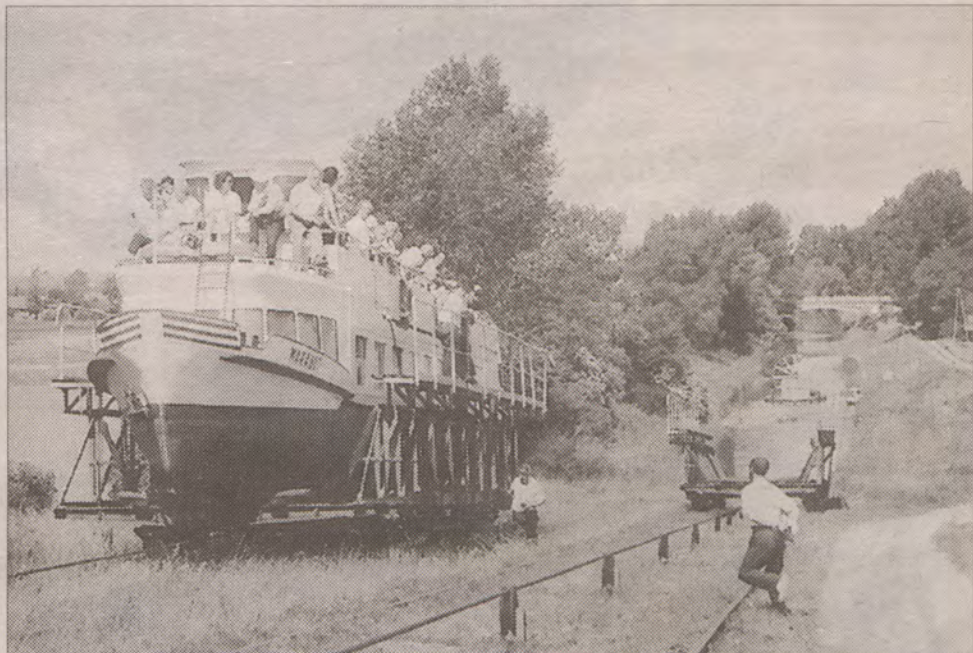
• Klub Imprez na Orientację „Neptun” zaprasza w sobotę do lasu na Stogach. Przygotowano trasy dla początkujących i zaawansowanych. Przyjmowanie uczestników odbędzie się w Szkole Podstawowej nr 11, ul. Stryjewskiego od godz. 9 do 10.20.

• Na wycieczkę do Puszczy Darżlubskiej zaprasza Oddział Morski PTTK z Gdyni. W programie spacer na trasie Wejherowojezioro Stoborowo, ognisko z pieczeniem kielbasek i konkurs (te-

matyka krajoznawcza i przyrodnicza). Chętnych do wzięcia udziału w wycieczce prosimy o telefoniczne zgłaszanie się dzisiaj pod nr. tel. 21-75-24 i 21-77-51. Zbiórka uczestników w niedzielę o 9.45 przy kasach SKM w Gdyni, wyjazd kolejką do Wejherowa o 9.58.

Wędruj razem z nami

Rusz się Białą flotą na pochylnie



Na pochylni „Kąty”.

Fot. Piotr Kajmer

Trzeba, co prawda, wcześniej wstać, by zdążyć na stateczek białej floty, odpływający rano z Elbląga, ale naprawdę warto. Kanał Ostródzko-Elbląski, z unikatowymi pochylniami, to jedna z najbardziej atrakcyjnych dróg wodnych w Europie.

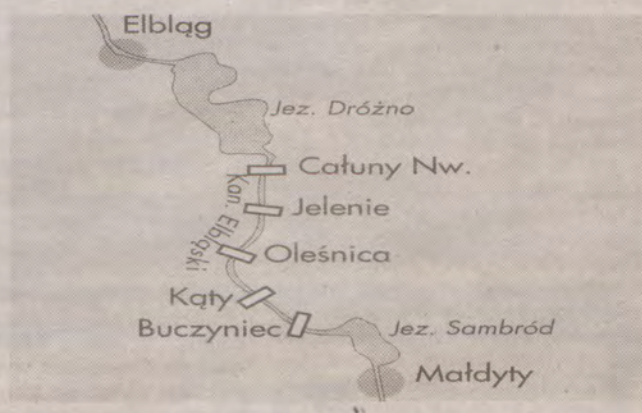
W Elblągu rozpoczyna się 147-kilometrowy szlak, prowadzący przez Kanał Ostródzko-Elbląski i jeziora do Hawy nad Jeziorem Dróżno i Ostródą nad Jeziorem Drwęckim. Nasza wyprawa może trwać krócej - tylko do Małdyt - albo dłużej, gdy zdecydujemy się płynąć aż do Ostródy. W obu jednak przypadkach zaliczymy najbardziej atrakcyjną jej część: zespół pięciu pochylni. Z przystani płyniemy w kierunku Jeziora Drużno, po którym poruszać się można jedynie pogłębionym do 2 metrów torem wodnym, gdyż przeciętna tutaj głębokość to zaledwie pół metra. Na tym bagnistym terenie czeka na nas rezerwat przyrody, będący ostoją 150 gatunków ptaków. Ptasie trele i przekrzykiwania oraz kumkanie żab towarzyszyć nam będą przez całą drogę, aż do pochylni.

Zespół pięciu pochylni umożliwia pokonanie prawie stumetrowej różnicy pozio-

mów terenu pomiędzy Drużnem a jeziorami Pojezierza Iławskiego. System ten zbudowano w latach 1847-76, a jego projektantem był J. van Steenke, holenderski inżynier, pochodzący z mennonickiej rodziny osiadłej na Żuławach. Stateczek wpływa na wózek zagłębiony w wodzie, by po chwili ruszyć w górę (albo

w dół, gdyż podróż odbywa się w dwóch kierunkach) po trawie. Jest to genialnie proste rozwiązanie techniczne, wykorzystujące jedynie siłę wody jako motoru napędzającego cały mechanizm.

Za ostatnią pochylnią w Buczynie dopływamy kanałami na jeziora Pniewo i Sambród - tutaj, w Małdytach, pełni podziwu dla ludzkiej wynalazczości oraz zachwyceni pięknem krajobrazów, możemy zakończyć naszą wyprawę. Będziemy ją później polecać swoim przyjaciółom i znajomym. (mir)



Jak dojechać?

Do Elbląga wyjeżdżamy pociągiem pospiesznym z Gdyni 5.50 (Gdańsk 6.15), który jest w Tczewie o 6.40. Tutaj przesiadka na pociąg osobowy o 6.48 do Elbląga (7.40). Z dworca PKP do przystani najszybciej można dojechać taksówką. Statek Żegluga Ostródzko-Elbląskiej odpływa codziennie z Bulwaru Zygmunta w Elblągu o godzinie 8. Jeżeli chcemy wrócić do Trójmiasta tego samego dnia płyniemy tylko do Małdyt, skąd wracamy o 15.46 pociągiem osobowym do Elbląga (16.29), tu przesiadka na pociąg o 16.56 do Trójmiasta. Do Ostródy statek dopływa ok. 19. Tanie przenocować można - po wcześniej dokonanej rezerwacji - w domkach kempingowych klubu sportowego „Sokół” w Ostródzie (tel. 0-88/46-47-61) za 12 zł od osoby (dzieci do 6 lat - 6 zł). Rano wracamy do Gdańska pociągiem o 7.17 lub o 9.06 do Hawy (9.31), tu przesiadka na ekspres o 11.15. Można też jechać autobusem PKS.

Podróż statkiem do Małdyt będzie nas kosztować 42 zł (ulgowy 29), a do Ostródy 50 zł (ulgowy 35). Bilety należy rezerwować pod nr. tel. 0-55/ 32-43-07.

• Nadwiślański Klub Krajoznawczy „Trsów”, działający przy Muzeum Wisły w Tczewie, zaprasza w sobotę na wędrówkę krajoznawczą pt. „Romantyczna Wysoczyzna Elbląska”. Trasa: Kadyny-Ostrogóra-Pagórki. Zbiórka na dworcu PKP w Tczewie z wykupionymi biletami. O godz. 7.41 wyjazd pociągiem do Elbląga, tam przesiadka na pociąg do Kadyn o godz. 8.37.

(mir)

Auto Salon



Citroen ZX 1.1 jest doskonałym przykładem sprytniej zabawy w klocki uprawianej przez konstruktorów z koncernu PSA, produkującego Citroeny i Peugeoty. Na czym polega zabawa? A właśnie...



Kolo-
salne koszty zwią-
zane z opracowaniem nowego
modelu zmuszają producentów do szu-
kania oszczędności. Najdrożej kosztuje
opracowanie płyty podłogowej i oprzy-
rządowanie jej produkcji, kolosalne su-
my pochłania też przygotowanie no-
wych silników.

Nic więc dziwnego, że np. nowy Fiat Marea jest bodaj piętnastym modelem noszącym markę Alfa Romeo, Fiat lub Lancia, produkowanym na tej samej płycie podłogowej, przygotowanej w latach osiemdziesiątych dla modelu Tipo, zaś Cinquecento 900 ma silnik wywodzący się w prostej linii z Fiata 600 z początku lat pięćdziesiątych.*

Podobnie jest w koncernie PSA. Ścisłe pokrewieństwo, niewidoczne na pierwszy rzut oka pod różnymi kształtami nadwozi, łączy np. prezentowanego tu niedawno nowego Citroëna Saxo z Peugeotem 106, który z kolei wszystkie niemal mechanizmy wraz z płytą podłogową przejął z Citroëna AX. Podobnie Peugeot 306 jest pod względem konstrukcyjnym bliskim kuzynem Citroëna ZX. Te same silniki stosowane są w kilkunastu modelach Peugeota i Citroëna.

Citroen ZX 1.1 Miami

Silnik o poj. 1124 cm sześć, z jednopunktowym wtryskiem paliwa, elektronicznym układem zapłonowym i trójfunkcyjnym katalizatorem spalin z sondą lambda, wałek rozrządu w głowicy, napędzany paskiem zębatym

moc	60 KM przy 6200 obr./min
maks. moment obr.	89 Nm przy 3800 obr./min
zawieszenie przednie	wahacze poprzeczne, zwrotnice MacPherson,

zawieszenie tylne	osłona przedniego
hamulce	osłona samoskrętna, wahacze wleczone, sprężyny spiralne
	ze wspomaganiem, przednie tarczowe, tylne

średnica skrętu	10,5 m
masa własna	ok. 950 kg
ładowność	ok. 515 kg
prędkość maksymalna	161 km/godz.

przyspieszenia	
0-100 km/godz.	13,9 s.
zużycie paliwa	
90 km/godz./120/ miasto	5,1/6,8/7,8

1 wreszcie
Citroen ZX 1.1. Silnik
o pojemności zaledwie 1124 cm
sześc., znany z AX-a i Peugeotów 205
i 106, połączono w nim ze stosunkowo
dużym nadwoziem, o całkiem poważ-
nym rozstawie osi, wynoszącym aż 254
cm, czyli o 3 cm więcej niż w polonezie.

Jak taka kombinacja sprawdza się w praktyce - mieliśmy okazję sprawdzić na przykładzie ZX-a w wersji nadwoziowej Miami, udostępnionego nam przez gdańskiego dealera Citroena, firmę Classic.

Wnętrze jest przestronne

Zarówno z przodu, jak i z tyłu siedzi się wygodnie. Przednie fotele są, jak na nasz gust, nieco za miękkie i zbyt płaskie, ale długie siedziska, dobrze wyprofilowane oparcia i prawidłowo skonstruowane zagłówki zapewniają dostateczny komfort. Z punktu widzenia kierowcy ważnym szczegółem wyposażenia jest regulacja wysokości kierownicy. Tablica przyrządów o kształcie nieco już niemodnym jest wygodna i funkcjonalna.

W skład zestawu wskaźników wchodzi obrotomierz, przed pasażerem wygospodarowano spory, zamykany na klucz schowek oraz dużą półkę pod szybą. W drzwiach umieszczono niezbyt wielkie kieszenie. Pożytecznym drobiazgiem jest wysuwana przykrywa radioodbiornika. Znakoomicie działa układ ogrzewania i przewietrzania.

Z tyłu jest dość przestrzeni nawet dla wysokich i tegich pasażerów. Tylna kanapa składa się (w wersji Miami - w całości) pozwalając na powiększenie przestrzeni bagażowej z 345 l (jeden z najlepszych wyników wśród kompaktowych hatchbacków!) do 1145 l. Koło zapasowe umieszczono w specjalnym uchwycie pod podłogą bagażnika.

Miniaturowy silnik

o mocy 60 KM przy 6200 obr./min. radzi sobie nadspodziewanie dobrze z ważącym ok. 950 kilogramów samochodem. Dynamiką wprowadzi ZX 1.1 nie imponuje, ale też bynajmniej nie jest zawalidrogą. Gdy nie wykorzystuje się w pełni ponad 500-kilogramowej (!) ładowności, kierowca nie musi zbyt często sięgać do dźwigni zmiany biegów: elastyczność dość już przecięzł wiekowego silnika, wyposażonego obecnie w układ jednopunktowego wtrysku paliwa, jest imponująca. Powyżej 3500 obr./min. silnik staje się wprowadzić dość hulaśliwy, ale nawet przy prędkościach zbliżonych do maksymalnej natężenie dźwięków we wnętrzu jest możliwe do zaakceptowania.

Skrzynia biegów

zasługuje na trójkę z plusem: przykrym kontrastem dla łatwej i precyzyjnej zmiany przełożeń podczas jazdy do przodu są poważne trudności z włącza-

niem biegu wsteczne-
go.

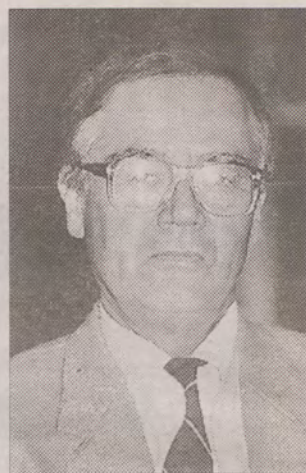
Estetyka i jakość wykończenia

Citroena ZX Miami nie budzi zastrzeżeń. Mimo upływu lat linie nadwozia zaprojektowanego przez Nuccio Bertone nie zestarzały się i - jak się zdaje - nie opatrzą się szybko. Z zielonym, metalizowanym lakierem, kołami z lekkiego stopu, niskoprofilowymi oponami i dyskretnym makijażem „limited edition” auto może się ciągle podobać i zbierać pozytywne recenzje za swe niezaprzeczalne walory użytkowe.

Marek Ponikowski

Zalety i wady

- + oszczędny i elastyczny, choć dość głośny silnik
- + bezpieczne podwozie z tylną osią samoskrotną
- + przestronne i wygodne wnętrze
- + dobra jakość wykończenia
- + pasy bezpieczeństwa z napinaczami pirotechnicznymi
- trudności z włączaniem wstecznego biegu
- brak poduszek powietrznych
- zbyt małe lusterka



Za kierownicą

dr Jerzy
Umiastowski
lekarz

Na początku lat sześćdziesiątych, jak wielu absolwentów akademii medycznych, trafiłem na dwa lata do wojska. Jako lekarz wojskowy uzyskałem prawo jazdy. Pamiętam, że uczyliśmy się kierować ciężarówkami Lublin i oczywiście Warszawami.

Pierwsze auto kupilem w roku 1969. Był to używany Ford Taunus, dla swoich kształtów nazywany „wanną”. W tym właśnie samochodzie przeżyłem pierwszy i najpoważniejszy w życiu wypadek. Było to w Anglii - człowe zderzenie, na szczęście bez ofiar w ludziach, choć moje auto i samochód Anglika zostały poważnie uszkodzone.

W Libii, gdzie pracowałem przez kilka lat, jeździłem Seatem. Nie najlepiej wspominam ten czas psujący się pojazd. Kiedyś w nocy, na pustyni wysiadły mi w nim światła: ponad sto kilometrów przejechałem prawie po omacku.

Miałem też stare Volvo, polskiego Fiata, „malucha”. Dziś jeżdżę osiemnastoletnim Merce-
desem „beczką” i bardzo
sobie chwalebę. Jest niezawodny - a to bardzo
ważne gdy auto służy na
co dzień, jest niemal na-
rzędziem pracy.

Jeżdżę dużo, ale raczej powoli i ostrożnie. Przestrzegam przepisów. To jest, moim zdaniem, jedyna recepta na coraz intensywniejszy ruch drogowy.

(mjp)

Dymek z papierosa

Ursula Bauchrowitz jest z zawodu niemiecką stewardesą, z usposobienia - fanatyczną przeciwniczką papierosów. To właśnie tacy ludzie jak ona doprowadzają do uchwalania przepisów, których potem nikt nie jest w stanie wyegzekwować.

Pani Bauchrowitz, widząc nieudolność niemieckich posłów, którzy w odróżnieniu na przykład od polskich, nie spieszą się z podejmowaniem nieprzemysłanych decyzji - postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. I zmusić niemieckie linie lotnicze Lufthansa do wprowadzenia całkowitego zakazu palenia podczas długich lotów międzynarodowych. Gdy podobny pomysł pojawił się w Bundestagu, protestowała przeciwko niemu sama Lufthansa oraz większość posłów. Zdają sobie oni bowiem sprawę, że pasażer wcale nie musi latać ich samolotami. I jeśli mu zaniechają życia - skorzysta z innych linii. Dzięki temu zarobi ktoś inny, a straci niemieckie przedsiębiorstwo.

Pani Bauchrowitz nie została przekonana takimi argumentami i wniosła sprawę do sądu. W uzasadnieniu pozwu napisała, że w trakcie lotu jest narażona na kontakt z dymem, co źle wpływa na jej samopoczucie i zdrowie.

Sąd pierwszej, a potem drugiej instancji odrzucił pozew jako bezsensowny. Ale jak to bywa z fanatykami, stewardesa nie ustąpiła i złożyła odwołanie do najwyższego Federalnego Sądu Pracy. Siłę swych argumentów wzmocniła świadectwem lekarskim potwierdzającym fatalny wpływ dymu tytoniowego na jej organizm. Żeby było zabawniej, dokument o dokładnie odwrotnej treści przedstawił Związek Niemieckich Pilotów. Znajdowało się w nim oświadczenie lekarzy stwierdzających, że podczas wykonywania bardzo skomplikowanych manewrów, wymagających olbrzymiej koncentracji, niektórzy piloci muszą palić. I choćby ze względów bezpieczeństwa nie wolno im tego zabronić.

Sąd po długim namyśle wydał wyrok. Niestety, pani Bauchrowitz przegrała. Zgodnie z orzeczeniem trybunału - powinnością stewardesy jest obsługiwanie wszystkich pasażerów,

także tych, którzy ku jej utrapieniu palą. Pracownik ma oczywiście prawo odmowy wykonywania zleconych mu przez pracodawcę zadań - wyjaśniała dalej niemiecka Temida - ale tylko wtedy, gdy w powietrzu znajduje się taka ilość szkodliwych składników, która wyraźnie przekracza dopuszczalne normy.

Niemcy są narodem lojalistów, więc dla każdego problemu szukają rozwiązań prawnych. Dokładnie odwrotnie dzieje się w Polsce, gdzie każdy szuka rozwiązania na własną rękę. Wygląda to mniej więcej tak jak

w sali przylotów warszawskiego lotniska Okęcie, gdzie rzecz jasna obowiązuje zakaz palenia. Kiedy wyszliśmy z samolotu, w oczy rzuciły się znaki zakazu i stojący pod nimi umundurowany celnik z papierosem w ustach. Jedna z pasażerek podeszła do niego, prosząc o ogień.

- Nie dam - odparł.

- Ale dlaczego?

- Bo tu nie wolno palić.

- Ale przecież pan pali.

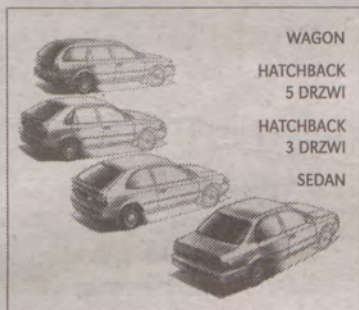
- Ja - zaciągnął się, podkreślając swą władzę - to co innego. Ja mogę.

Andrzej Mikorski

COROLLA

...i jedziemy na wakacje.

Już trzecie pokolenie kierowców docenia zarówno walory użytkowe Corolli, jak i jej przysłowiową niezawodność oraz wysoki poziom bezpieczeń-



Zwłaszcza, że wciąż jeszcze możemy zaproponować ceny kontyngentowe za ten legendarny i najlepiej w historii sprzedawany model Toyoty.

Nie zwlekaj i odwiedź najbliższego autoryzowanego dealera Toyoty.

A potem.... Corollą na wspaniałe wakacje.

CARTER: 80-373 Gdańsk, ul. Dąbrowszczaków 12, tel. (0-58) 53 23 44, 53 75 15, fax 53 44 53

ANRO-TRADE: 84-209 Gdynia-Chwaszczyno, ul. Gdyńska 56, tel. (0-58) 52 59 21, 52 80 21, fax 52 81 70



TOYOTA
Godna Twojego Zaufania

• TELEWIZORY • MAGNETOWIDY • PRALKI • MIKROFALÓWKI • LODÓWKI • ZAMRAŻARKI • KUCHNIE

AGD RTV



GDĄSK HALA "OLIVIA"
tel. **52-40-13**

10003671

AGD



NOWOŚĆ!
PHILIPS
HQ 484

Odkryjmy lepszy świat.

GDYNIA, CENTRUM HANDLOWE
"EUROMARKET", tel. 29-53-90, ul. Nowowiczlińska 35

RTV



GDYNIA "PETEX", ul. Abrahama 7
tel. **21-82-16**

WIEŻE • RADIOMAGNETOFONY

• GWARANTOWANY POZIOM CEN MINIMALNYCH •

DZIENNIK BAŁTYCKI

Sobotni bezpłatny
dodatek
ogłoszeniowy

Gratka

już od 22.06.



BIURA OGŁOSZEŃ

"DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO":

Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń:

80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7,

Gdynia, ul. Władysława IV 17

Gdynia, ul. Świętojańska 141 b,

Sopot, ul. Kościuszki 61,

Pruszcz Gdański, ul. Tysiąclecia 8,

Tczew, ul. 1 Maja 4

Elbląg, ul. Łączności 3,

Starogard Gdański, ul. Basztowa 3

Tylko dla firm

Gratka - kupon 50% bonifikaty
na jedno ogłoszenie drobne w dniu 22.06.96

Treść

Nr rubryki ☐

Nr podrubryki ☐

Nie zapomnij!

WYNIJ KUPON - PRZEŚLIJ LISTEM, KARTKĄ POCZTOWĄ NA ADRES 80-886 GDAŃSK, TARG DRZEWNY 3/7 CENTRALNE BIURO OGŁOSZEŃ "DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO" WRAZ Z DOWODEM WPŁATY NA KONTO: PRASA BAŁTYCKA SP. Z O.O. GDAŃSK, TARG DRZEWNY 3/7, BRE S.A. O/GDAŃSK 401807-314807-2511-01, ALBO OPAĆ W JEDNYM Z BIUR OGŁOSZEŃ "DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO"

* DLA WSZYSTKICH FIRM CENA 1 SŁOWA (z bonifikatą) 43gr + 22% VAT

** - WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH
- CZCIONKĘ W OGŁOSZENIU "WYTIUSZCZAMY" BEZ DODATKOWYCH OPŁAT
- OGŁOSZENIA PRZYJMOWANE SĄ NA PODSTAWIE REGULAMINU PRZYJMOWANIA OGŁOSZEŃ "PRASY BAŁTYCKIEJ" DOSTĘPNEGO WE WSZYSTKICH BIURACH OGŁOSZEŃ "DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO"
- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAGOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZENIA

Oświadczamy, że firma jest/nie jest płatnikiem VAT i upoważniamy "Prasę Bałtycką" Sp. z o.o. do wystawienia faktury VAT/rachunku bez podpisu zleceniodawcy

Nazwa firmy _____ NIP _____

adres _____

* niepotrzebne skreślić Czy wystawić fakturę za ogłoszenie TAK NIE* podpis czytelny

CO ZROBIĆ

żeby ogłoszenie drobne ukazało się z 50%- bonifikatą?

1

Kup "DZIENNIK BAŁTYCKI"

np. w sobotę 15.06, lub w poniedziałek 17.06, bądź we wtorek 18.06, albo w środę 19.06, czy w czwartek 20.06

2

Wytnij kupon

3

Wyślij wypełniony kupon

listem, kartką pocztową, lub wrzuć do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń "DB" wraz z potwierdzeniem wpłaty na konto "Prasy Bałtyckiej" lub opłać w jednym z Biur Ogłoszeń tak aby trafił do czwartku do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki "Gratki".

4

Ogłoszenie ukazuje się w "Gratce" - dodatku do "Dziennika Bałtyckiego" z 50% bonifikatą (43 gr+22% VAT- za słowo) np. w sobotę 22.06

UWAGA: Przychodząc do jednego z Biur Ogłoszeń "Dziennika Bałtyckiego" i opłacając jedno ogłoszenie drobne w inny dzień niż sobotę w "DB" lub "DUO" firma otrzymuje także kupon na ogłoszenie drobne w "Gratce" z 50%- bonifikatą.

* KONTO: Prasa Bałtycka Spółka z o.o., 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, BRE SA O/Gdańsk 401807-314807-2511-01

Tylko dla osób prywatnych

Gratka - bezpłatny kupon
uprawniający do jednego ogłoszenia drobnego w dniu 22.06.96

Treść

Nr rubryki ☐

Nr podrubryki ☐

Nie zapomnij!

Wytnij kupon - 1 prześlij pocztą na adres 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń "Dziennika Bałtyckiego" lub 2 wrzuć do skrzynki "Gratki" przy Biurach Ogłoszeń.

* TYLKO DLA OSÓB PRYWATNYCH

** - W PODRUBRYCE ODNAJME-SPRZEDAM NALEŻY PODAĆ CENĘ
- WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH
- OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ TYLKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ
- W OGŁOSZENIU PODAJ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU
- BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZREDAGOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZENIA, LUB JEGO NIEZAMIESZCZENIA

imię i nazwisko _____

adres _____

numer dowodu osobistego _____ telefon _____

podpis _____

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

1

Kup "DZIENNIK BAŁTYCKI"

np. w sobotę 15.06, lub w poniedziałek 17.06, bądź we wtorek 18.06, albo środę 19.06, czy w czwartek 20.06

2

Wytnij kupon

3

Wyślij wypełniony kupon

listem, kartką pocztową, lub wrzuć do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń "DB" tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12, do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki "Gratki".

4

Ogłoszenie ukazuje się w "Gratce" - dodatku do "DB" za darmo np. w sobotę 22.06.

UWAGA: Szanowny Czytelniku! Przychodząc do jednego z Biur Ogłoszeń "Dziennika Bałtyckiego" i opłacając jedno ogłoszenie drobne w inny dzień niż sobotę w "DB" lub "DUO" także otrzymujesz kupon na ogłoszenie drobne w "Gratce" za darmo.



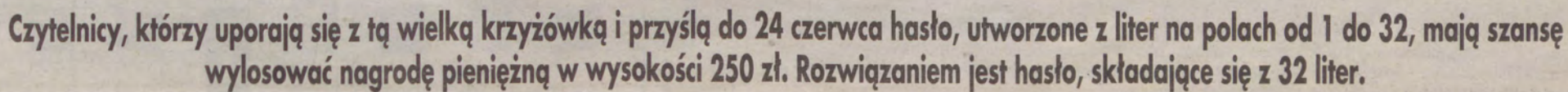
1-wyślij pocztą



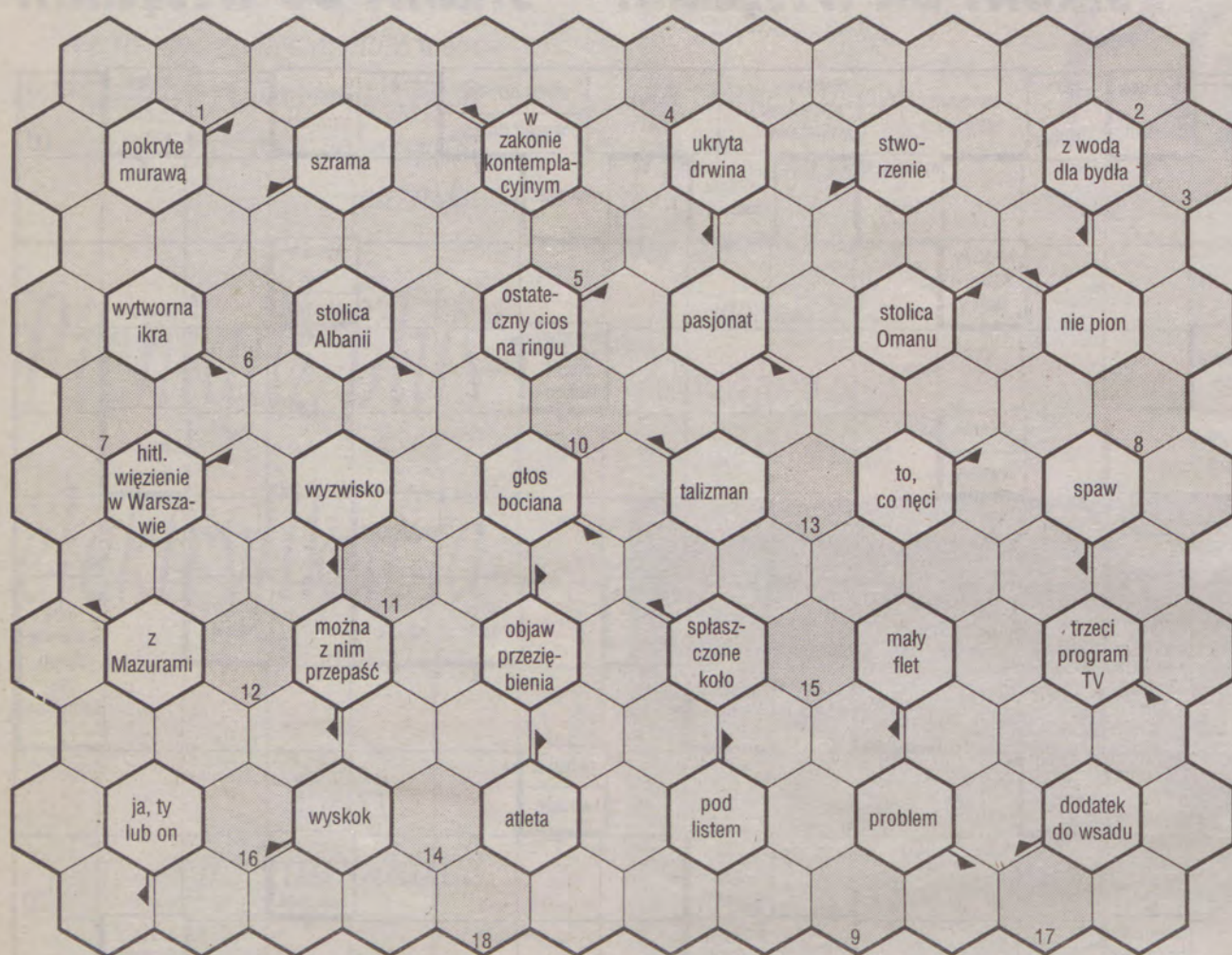
2-wrzuć do skrzynki "Gratki"

Numer rubryk i pod-
rubryk opublikuje-
my 15.06 w "Dzienni-
ku Bałtyckim"

STRONY DO WYJĘCIA!!!

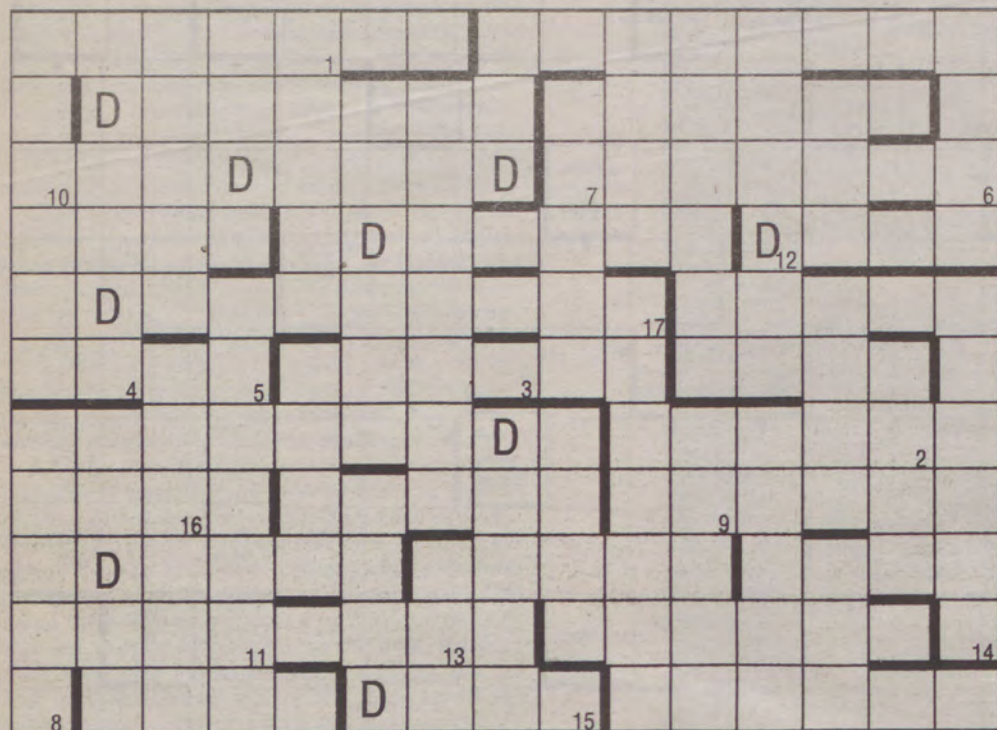


WIRÓWKA



Litery z pól od 1 do 18 tworzą rozwiązanie wirówki (przysłowie)

JOLKA

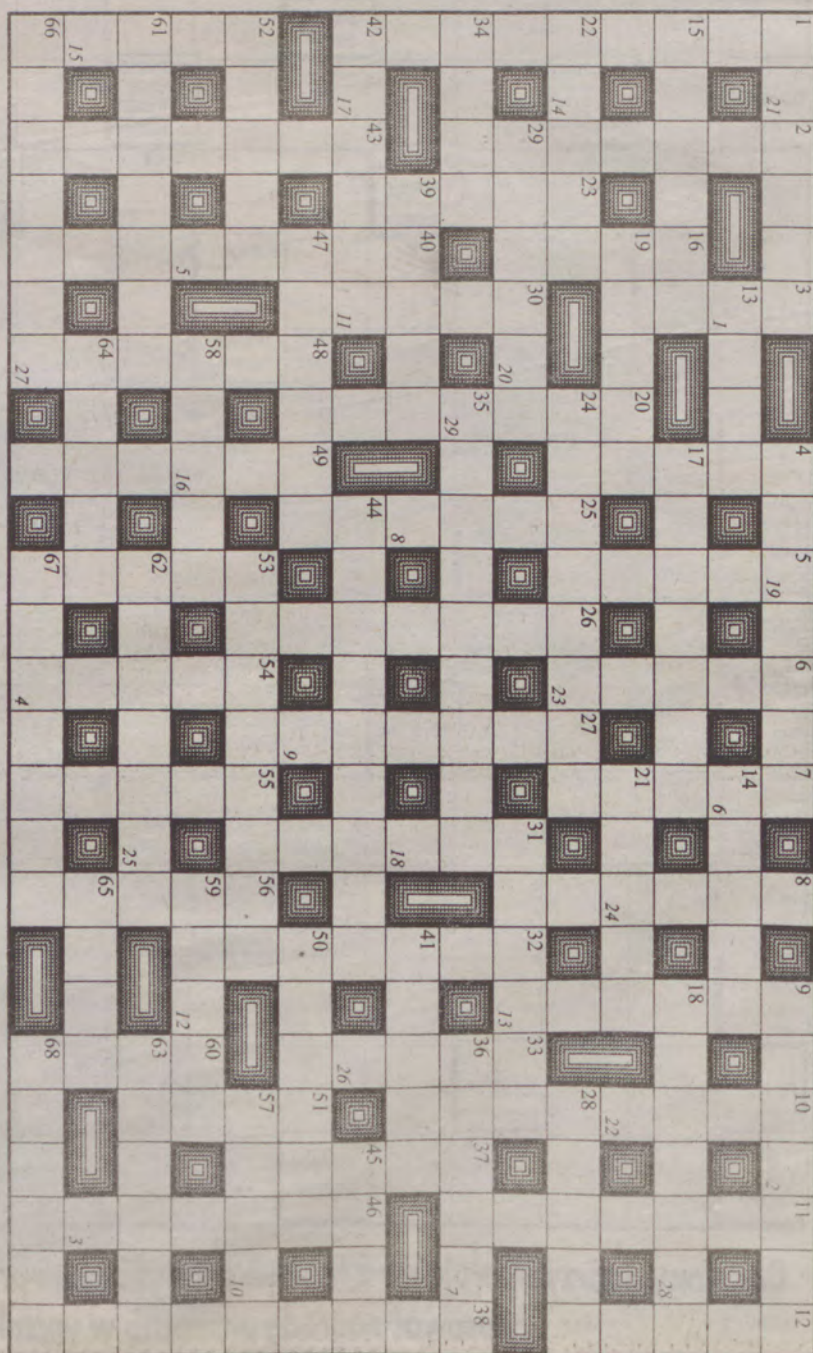


Litery z pól od 1 do 17 tworzą rozwiązanie jolki (przysłowie)

Objaśnienia występują w przypadkowej kolejności. W diagramie ujawniono wszystkie litery „d”.
 • ukraiński port nad Morzem Czarnym • puszkowana ryba • kozacki przywódca • spotkanie zakochanych • koleczasty na zasięgi • skok w bok • w sнопie z ogniska • upomnienie • najwyższy stopień w marynarce • indeks • widelki na wiosło • styl pływakci • Łódzki Klub Sportowy • zbrodnia i... • marka aparatów fotograficznych • cząstki pocisku wyrzucone siłą wybuchu • koszykówka lub szachy • solenizant z 26 marca • platynowiec o L.A. 45 • członek WOPR • kościelny dostojnik • bazar • waluta RPA • westernowa broń • miasto z Kremlu • autor „Solaris” • symbol żałoby • mknij z watahą • najeżdźca • przekraczał Rubikon • kochanka Aleksandra Wielkiego • kwiat damy z Dumasa • broń na grubą zwierzyń • amerykański włóczęga • otarcie od za ciasnego buta • ma ją obraz i rower • zakończenie utworu • rosły opryszek • krótsze od wakacji • mądry ptak • śnieżny sezon • szkocka rodzina • tańszy węgiel • brzoza lub dąbek • z kranem w kuchni • antenat, przodek • sposób ułożenia upolowanej zwierzyń • przejrzysta na oknie • pustelnik • część uprząży • sus pod wodę • obszar wodny • rozgotowany ryż • niwa • koleżanka żaluzji • w muszce z tacą • drugi w tygodniu

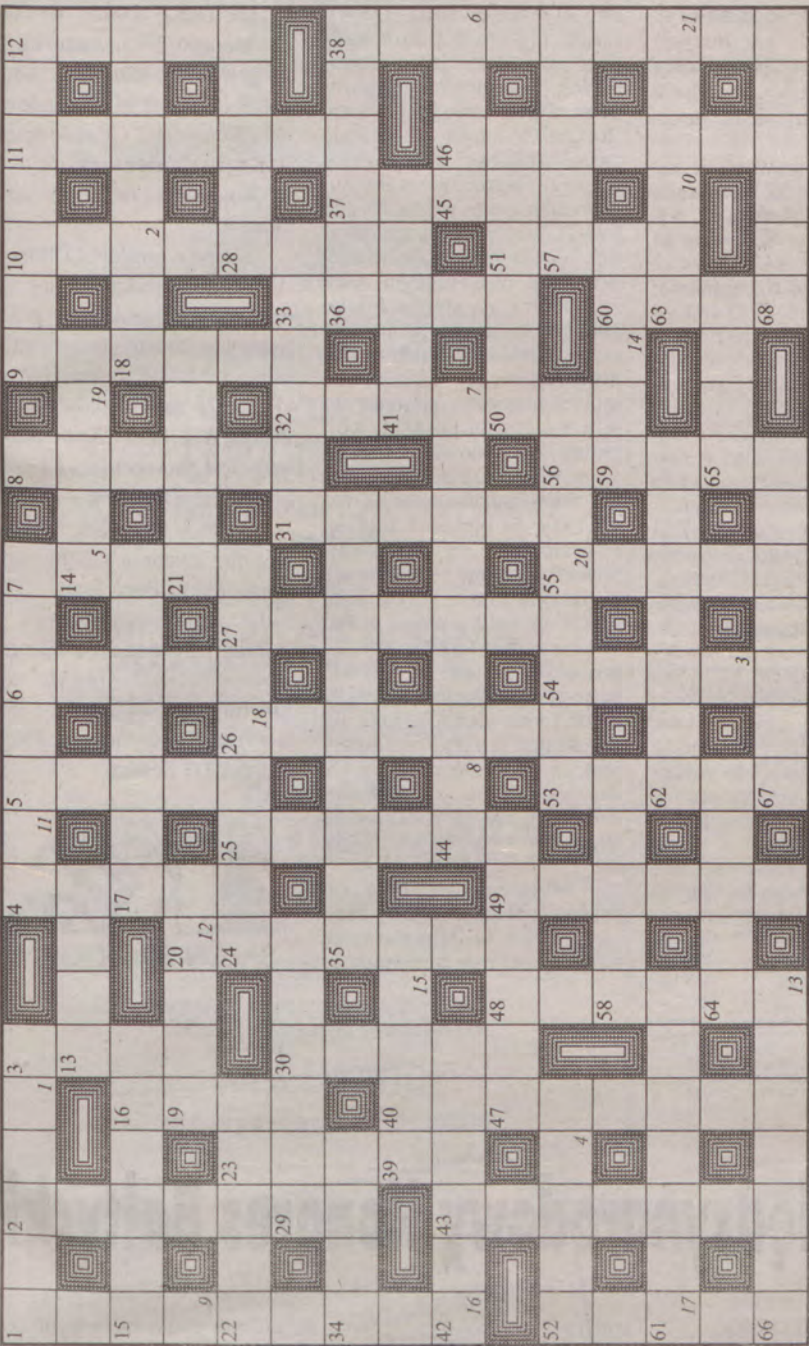
KRZYŻÓWKA BLIŹNIACZA 1

POZIOMO: 1) szale, 4) klej, 9) wyposażenie, 13) między kałkami, 14) podręczny magazyn, 15) współczesny poeta amerykański, 17) cząstka, 18) w organizacji, 19) popularna ryba, 21) dostawa, 22) część meczu bokserskiego, 24) po wy-czerpującym biegu, 28) dramaturg skandynawski, 29) w zębie lub na głowie, 31) pękaty i kłujący, 34) batalion, 35) wódz Indian meksykańskich, 36) „krolewskie” imię, 39) partia faszystowska, 41) jednostka miary papieru toaletowego, 42) wschodnia sztuka walki, 44) postępuje się brajmem, 45) przepływa przez Nidzicę, 47) muza z kuli i cyklem, 50) na plaży „bez gór”, 52) stół wodospad, 63) obozowe schronienie, 64) imię kluczowej postaci w „Mściechu Twin Peaks”, 65) strój Hindusi, 66) pomysł, idea, 67) ekstaza, 68) obok Rejenta w „Panu Tadeuszu”
 PIONOWO: 1) np. kwadrat, 2) łączny rury, 3) muzyczna fryzura, 4) w kominie, 5) kajdany, 6) hołota, motloch, 7) wio-ska, 8) łebek, 9) referat, 10) wśród zastawy, 11) jego ostatni film to „Cwał”, 12) plak z dużym pomarańczowym dziełem, 16) porażenie, 20) coś do włosów, 23) grzebie do włoski, 25) opłata lennicza, 26) przy odwołaniu cukierka, 27) pracu-je w kasynie, 30) na piersi odznaczono, 31) do chodzenia po kahuach, 32) świniaki pamiętek, 33) kanikula, 37) chodnik w kopalni, 38) materiał dla trzebiarza, 40) wiek, 43) ciasto na chleb, 46) gwa kulszowa, 48) na jeździ, 49) nieproszony gość, 51) wypływająca przez wulkan, 52) miasto we wschodnich Niemczech, 53) przy pomocy dźwięków znajduje obiekty pod wodą, 54) likier kminkowy, 55) zżęta trawa, 56) opryszek, 60) zjednoczenie



Rozwiązaniem jest hasło - cytat - utworzone z ponumerowanych pól obydwóch krzyżówek bliźniaczych

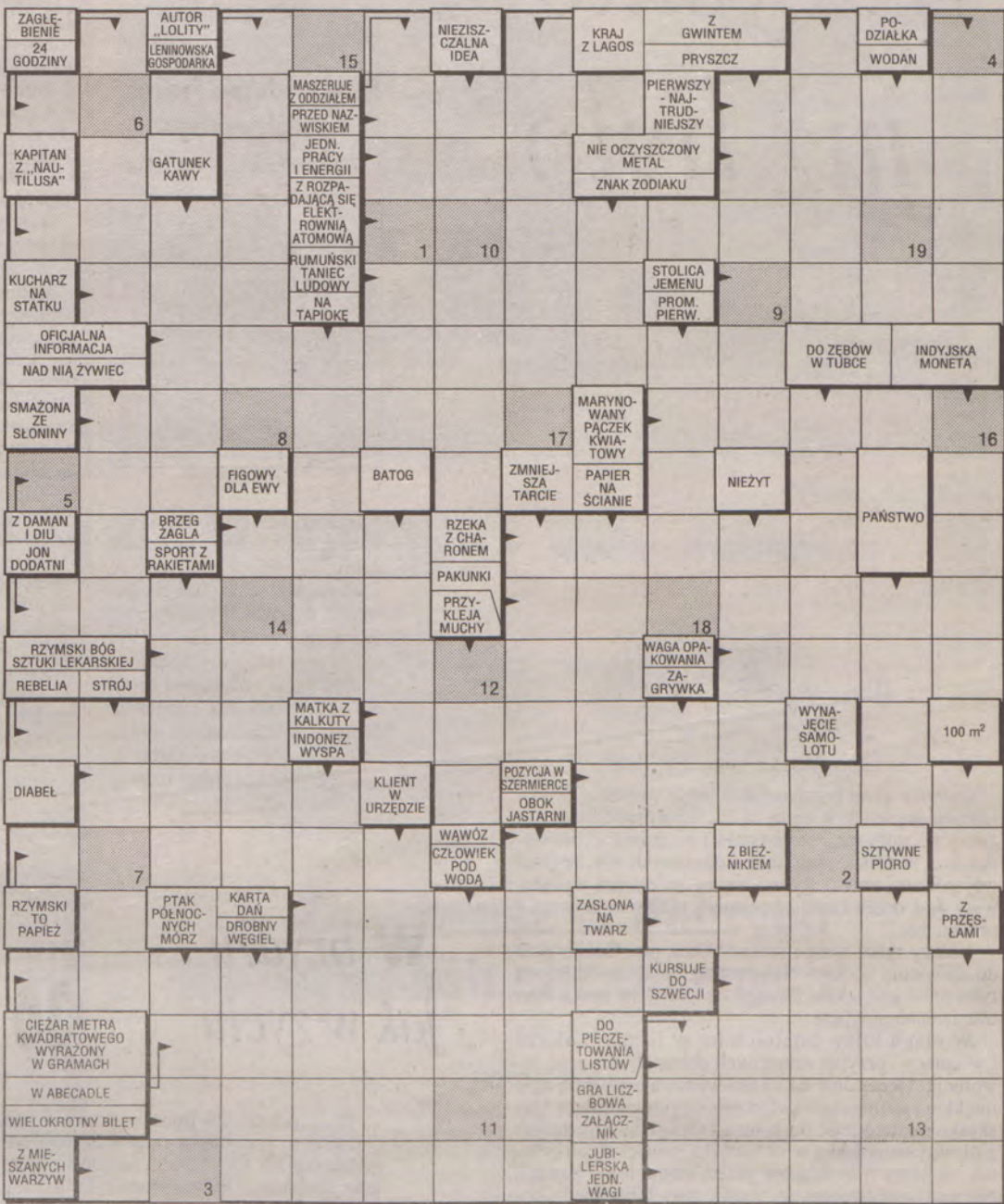
KRZYŻÓWKA BLIŹNIACZA 2



POZIOMO: 1) wzornik, 4) despotyczne rządy, 9) farfocel, 13) wietrzna lub czarna, 14) jego żona chodzi boso?, 15) ryba karpiołata, 17) syntetyczny pierwiastek, 1. atom, 43, 18) wyreżyserowała film „Europa, Europa”, 19) katarakta, 21) matka Jezusa, 22) wschodnie krańce Polski, 24) uzbrojenie, 28) kawa rozpuszczalna, 29) torbaczk, 31) rodzaj guzka, 34) sędziadzie z Irakiem, 35) ojczyzna Maradony, 36) rowerowa taksówka, 39) turecka potrawa ze snack-baru, 41) po wybuchu, 42) soczewka, 44) szyska, 45) prosty lub poprzeczny, 47) syn Zeusa, skazany na niezaspokojone pragnienie, 50) choroba nadwężonych nóg, 52) szpon, 53) popularna bułeczka, 57) rewolwer bębnowy dużego kalibru, 58) chaluupa, 59) na opuchliznę, 61) kram, storko, 62) truczna, 63) bezcelne lekceważenie, 64) stan ze stolicą w Boise, 65) holownica, cumownicza, 66) gazon, 67) zespół Kurta Cobaina, 68) mnóstwo.

PIKOWO: 1) studencka klasówka, 2) pszczele osiedle, 3) wierzbowa różga, 4) był nim Azja Tuhaj-bejowicz, 5) służność, 6) nielot, 7) dychawica, 8) świetne widowisko, 9) pcha, 10) kryta, dalekowschodnia lektyka, 11) ożenił się z Jacklyn Kennedy, 12) nauczyciel muzulmański, 16) dziecko, fakt, 20) padłinożny kuzyn bociana, 23) do jazdy po śniegu, 25) staniąd najnowsze plotki, 26) byle co, 27) kamienie rymy przy gdańskich przedprozach, 30) szybki nasiąka, 31) surowa kara dla więźnia, 32) ogień mu niestraszny, 33) duch powietrza z „Burzy” Szekspira, 37) autor „Procesu”, 38) sprzeżność, 40) roślina zielna, stosowana jako przyprawa, 43) chrapy, 46) coś na opatrunek, 48) pod łóżkiem, 49) fotograficzny lub słuchowy, 51) góry południowoamerykańskie, 52) obok Budy, 53) o człowieku nieugiętym i prawym, 54) szczególna karta, 55) moralność, 56) amator eukaliptusa, 60) staropolski pan.

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA



Rozwiązaniem jest hasło (przysłowie), utworzone z pól 1 - 19

Rywale, rekordy, medaliści (24)

101 pytań olimpijskich

Przed Igrzyskami Olimpijskimi w Atlancie, publikujemy quiz 101 pytań związanych z tradycją i rezultatami letnich zmagani olimpijskich. Wśród uczestników, którzy nadeślą poprawne odpowiedzi, losujemy nagrodę w postaci kasety wideo. Prawidłowe odpowiedzi z quizu z 31 maja: 1. László Papp; 2. Witold Woyda, 1992; 3. W Barcelonie, 1992; 4. Udział pięciokrotny. Nagrodę wylosował p. Jacek Tracz z Gdańska. Gratulujemy! W sprawie odbioru kasety należy porozumieć się z Biurem Konkursów w gdańskim Domu Prasy, przy Targu Drzewnym 3/7, pok. 201b.

Dwudziesty czwarty zestaw pytań:
1. Był jednym z najlepszych polskich biegaczy, osiągał lepsze czasy niż Chromik i Krzysztkowiak. W rok po zdobyciu złotego medalu olimpijskiego zginął w wypadku samochodowym. Proszę podać jego nazwisko.

2. Polski znakomity lekkoatleta. Obecnie trenuje kobiecą reprezentację USA. Przed laty - po dramatycznym biegu przełajowym w dokuczliwym upale - uzyskał na olimpiadzie złoty medal. Jak brzmi jego nazwisko?

3. Który lekkoatleta w biegu na 400 m przez płotki pokonał jako pierwszy ten dystans w czasie poniżej 47 sekund i gdzie tego dokonał?

4. Za 2 miesiące o igrzyskach w Atlancie zaczną pojawiać się w gazetach tytuły: „Przeminęło z wiatrem”. Jaki te słowa mają inny jeszcze związek z miejscem tegorocznej olimpiady?

Odpowiedzi na kartce pocztowej należy nadesłać w terminie do 24 bm. pod adresem „Dziennika Bałtyckiego”, 80-866 Gdańsk, skr. pocztowa nr 419, z dopiskiem „101 pytań”.

Rozwiązanie zadań z 31 maja

Krzyżówka z hasłem

„Nikt nie jest patriotą, gdy chodzi o podatki”.

George Orwell

Nagrodę wylosowała Wanda Smereka, Hel., ul. Zeromskiego 14. Gratulujemy! Po odbiór nagrody prosimy zgłosić się w Domu Prasy, Gdańsk, ul. Targ Drzewny 3/7, pokój 207 (II piętro), w godz. 11-15.

Cześć dzieciaki!

Czym różnią się te obrazki?
Rozwiązanie:

1. Brakuje komina; 2. Księżyc odwrócił się; 3. Pojawiła się jeszcze jedna gwiazdka; 4. W jednym oknie zgasło światło; 5. W drabince spodka brakuje szczebelka; 6. Kot inaczej wygiął ogon; 7. Ufoludek podniósł łapkę.

Nagrody wylosowali: Michał Burda, Pruszczyk Gdański, ul. Staszica 8, Michał Czerwionka, Gdańsk, ul. Północna 12/2 i Piotr Kowalski, Tczew, ul. Wąska.

W nagrodę wysyłamy dzieciom zabawki.

Po odbiór nagród prosimy zgłosić się w Domu Prasy, Gdańsk, ul. Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów, pokój 201 b. Za miejscowym nagrodę wysyłamy pocztą.

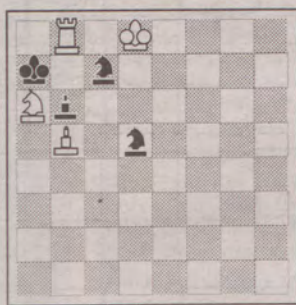
Na Czytelników, którzy do 24 czerwca nadeślą prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody: za WIRÓWKĘ I JOLKĘ - dwa zestawy kosmetyków; za KRZYŻÓWKI BLIŹNIACZE - komplet noży; za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - patelnia do smażenia bez tłuszczu. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami. Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, ul. Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

Wszystko już było

Szachy

pod redakcją Piotra Sobolewskiego

J.R.Capablanca - E.Lasker



Kontrola B: Kd8, Wb8, Sa6, p.b5; C: Ka7, Sc7, Sd5, p. b6.

Prezentowana pozycja powstała w partii błyskawicznej rozegranej w Berlinie w 1914 r. Grający białymi Capablanca znalazł iście zadaniową drogę do zwycięstwa. Na marginesie dodam, że trzeci mistrz świata ułożył także jedno zadanie, którego nikt nie mógł rozwią-

zać, co zniechęciło genialnego Kubańczyka do kompozycji szachowej. Późniejsze analizy wykazały wszelako, że zadanie Capablanki jest... nierozwiązywalne!

Nagrody za rozwiązanie zadania z dnia 24. 05. otrzymują: Z. Pelowski ul. Krótka 11 83-424 Lipusz oraz K. Kacperski al. Legionów 14/5 80-441 Gdańsk. Podaję rozwiązanie: 1. f7 We6 2.Kg5 We5 3.Kg4 We4 4.Kg3 We3 5.Kf2 +/-

XIII Międzynarodowy Festiwal Szachowy im. J. Dreszera

W dniach 22 - 30.06.96 najbardziej szachowy hotel w Polsce - hotel „Nowy” w Nadolu nad jeziorem Żarnowieckim - będzie gościł uczestników XIII Międzynarodowego Festiwalu Szachowego im. J. Dreszera. W ramach Festiwalu rozegrane zostaną następujące turnieje: Turniej Główny dla zawodników z rankingiem FIDE lub PZSzach min. 2000; Turniej Otwarty dla zawodników o rankingu < 2000 oraz turnieje dla juniorów w grupach wiekowych do 11, 13, 15 lat osobno dla dziewcząt i chłopców. Festiwal Dreszera był w latach 80 jedną z największych i najbardziej prestiżowych imprez w Polsce - wystarczy przypomnieć, że startowali w nim zawodnicy tej klasy co arcymi-

strzowie I.Lewitina (USA), L.Judasim (Izrael), E.Rozentalis (Litwa), a nawet jeden z aktualnych pretendentów do korony szachowej, arc. W.Kramnik (Rosja). W latach 90 ogólnie znane trudności nie ominęły też organizatorów festiwalu, w wyniku czego w latach 1993 i 94 Turniej Dreszera nie odbył się. Wznowiony po dwuletniej przerwie w ubiegłym roku zgromadził na starcie blisko 100 zawodników, wracając do rzędu dużych polskich turniejów. Tegoroczny festiwal, nad którym honorowy patronat objęli: wojewoda gdański, wójt gminy Gniewino oraz poseł na Sejm RP - Krzysztof Brzeziński ma wszelkie szanse na nawiązanie do pięknych tradycji i znalezienie się wśród największych imprez szachowych w naszym kraju. Wszystkim, którzy chcieliby wziąć udział w którymś z festiwalowych turniejów podaje, że przyjazd zawodników planowany jest na 21.06 (wyżywienie od kolacji), a początek turnieju planowany jest na 22.06.96 na godz.15. Stawka dzienna dla uczestników turnieju wynosi 27,50 PLN. Do zobaczenia w Nadolu!

* W rozegranym 2.06 w Zakładowym Domu Kultury Morskiego Portu Handlowego Gdynia kolejnym turniejem z cy-

klu GP TKKF „Doker” na starcie stanęło 39 zawodników. Zwyciężył unikalnym rezultatem 9,0 (z 9!!) M.Lewandowski „Konradia” Gdańsk przed A.Kojro (niezrzeszony) i B.Rosiakiem „Jantar” Pruszcz Gdański.

*Kolejny turniej „O Bursztynowego Konika” na sopockim mołu organizowany przez Sopockie Towarzystwo Kulturalne i MOSiR zgromadził na starcie 28 zawodników. Zwyciężył W.Libura „Konradia” przed A.Nawrockim „Caissa” i A.Sitkiem „Kotwica”.

*20.06 w DK „Kolejarz” rozegrany zostanie kolejny turniej z cyklu Pory Roku - Latopoczątek turnieju godz.17.

Nagrody Fundują Salony Sportowe KC Gdynia ul. Obrońców Wybrzeża; hol dworca głównego PKP; Gdańsk DT Sezam.



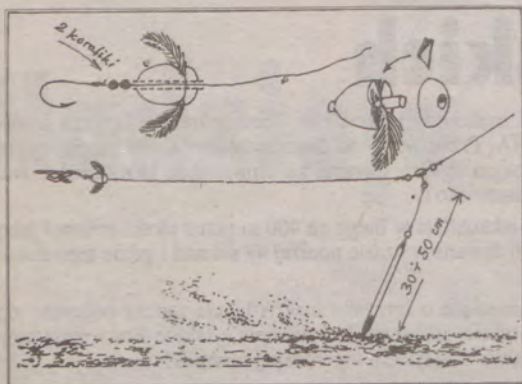
Z wędką

Ostatnia zima przypominała sobie wreszcie o swoich obowiązkach, w dodatku tak się jej spodobało nad naszymi wodami, że siedziała i siedziała aż wysiedziała... W Osieku trzy tony uduszonych ryb, w Osowej półtony... Ryby zamiast na patelni wylądowały pod drzewkami jako nawóz. Jednym słowem - przyducha.

Należy tylko się i płakać? Otóż nie. Coś jeszcze do złowienia zostało. Nawet ta ogłupiała podduszona ryba musi jeść a zatem może się skusić na naszą chytrze podaną przynętę.

W ciągu kilku ostatnich lat w firmie, kolorze i w „pracy” przynęt sztucznych dokonana się istna rewolucja. Generalnie na czoło wysuwają się przynęty miękkie i jarmarcznie kolorowe. Czyżby wirujące blaszysko miało odejść do lamusa? Oglądałem niedawno z nieskrywaną leżką w oku ciężki, mosiężny propeler na który mój dziadek przed wojną łowił pstragi. Nic nadzwyczajnego, po prostu ryby lubią kiedy coś się kręci.

Dziś też się kręci - tyle, że inaczej, miękko, elastycznie - niby różnica niewielka a już jesteśmy przy najnowszych hitach takich jak: helikopterek, Spin and



Rys. Wiesław Matczak

Głow czy Rox Spin. Skoro tak, to dlaczego nie spróbować pójść dalej? Do wykonania naszego spina zamiast galaretowatego plastiku możemy użyć balisy i naturalnych piórek ze skrzydeł choćby kaczki-krzyżówki, kury, bażanta itp., do środka wetknąć na klej kawałek rurki od długopisu i pierzasta zakąska gotowa. Zalety? „Praca” nawet przy wolnym prowadzeniu zestawu, możliwość łatwego i szybkiego łączenia w dowolne tandemiki nie wyłączając żywych robali, a wada właściwie jedna: Należy dociążyć. Wada ta stanie się zaletą jeśli za obciążenie posłużą nam pałeczka tyrolska czyli kawałek przezroczystej, plastikowej rurki z wtopionym nad palnikiem z jednego końca ciężarkiem (oliwką 10-50 g), a z drugiej drucianym uszkiem. Pałeczkę należy wyważyć tak, aby po zatonięciu stała na dnie zdecydowanie pionowo. Ot i cała filozofia. Przynęta wleczona za pałeczką wierci się tuż nad dnem czyli tam skąd najczęściej ryba wędruje na naszą patelnię.

A więc do dzieła i smacznego.

Mat.

W brydżu jak w życiu

W dniach 21-28 lipca w Sopocie pod patronatem prezydenta miasta Sopotu odbędzie się XXXVI Międzynarodowy Kongres Bałtycki. W programie Kongresu przewidziane jest rozegranie w dn. 26 i 28 lipca mistrzostw Polski teamów systemem Pattona. Kongres rozegrany zostanie w salach Uniwersytetu Gdańskiego, Sopot, ul. Armii Krajowej 119/121.

Program Kongresu

Niedziela, 21.07
godz. 10.30 Otwarcie Kongresu
godz. 11.00 I turniej par, I sesja
godz. 17.00 II sesja
Poniedziałek, 22.07
godz. 17.00 I Turniej par
Wtorek, 23.07
godz. 17.00 I Turniej teamów
Środa, 24.07
godz. 17.00 III Turniej par
Czwartek, 25.07

godz. 17.00

godz. 17.00

Piątek, 26.07

godz. 16.30

Sobota, 27.07

godz. 9.30

godz. 16.30

Niedziela, 28.07

godz. 9.00

Ok. godz. 14.00 zakończenie kongresu, wręczenie medali, pucharów i nagród.

W dniach 18-20 lipca o godz. 17.00 rozgrywane będą przedkongresowe turnieje par. W czasie trwania turnieju rozgrywane będą dodatkowe turnieje przedpołudniowe.

Podczas trwania kongresu rozgrywa się kilkaset rozdań. W 1964 r. zdarzyło się następujące rozdanie:

Turniej par

mikstowych

Otwarty turniej par

Mistrzostwa Polski

teamów - eliminacje

IV Turniej par - I sesja

II sesja

M.P.T. - finały.

W rozdaniu tym grano różne kontrakty na różnych poziomach. Najbardziej popularne były kontrakty 5 pik i 4 pik. Rozgrywający brali po 13 lew.

Z.P.

♠ AKW108532					
♥ -					
♦ D1094					
♣ 6					
♠ D9		N		♠ -	
♥ 10543				♥ AKW9872	
♦ W876532	W		E	♦ AK	
♣ -				♣ 10983	
		S			
		♠ 7643			
		♥ D6			
		♦ -			
		♠ AKDW7542			
Rozdanie 9, rozdawał N, EW po.					

Nie tylko dla filatelistów

Ze zbiorów przepadała w czasie wojen napoleońskich i podczas II wojny światowej. Otwarta w 1946 r. Biblioteka Gdańska pełniła do 1955 r. funkcję biblioteki naukowej i oświatowej. W 1955 r. dział naukowy (ok. 330 tys. t) przejęła Polska Akademia Nauk, a oświatową sieć wypożyczalni i czytelní prowadzą wojewódzkie i miejskie biblioteki. Pierwszym po wojnie i długoletnim dyrektorem Biblioteki Gdańskiej był doc. Marian Pelczar. Zbiory biblioteczne mają charakter humanistyczny, głównie z zakresu historii, zwłaszcza zagadnień gdańskich, pomorskich, Bałtyku. Działy specjalne zawierają cenne inkunabuły, miscellanea, mapy, ryciny. Dyrektorem Biblioteki Gdańskiej PAN jest obecnie prof. Zbigniew Nowak.

Gdy założono ją w 1596 r., nosiła nazwę Bibliotheca Senatus Gedanensis. Powstała na bazie humanistycznego księgozbioru Włocha, Jana Bernarda Bonifacio, który osiadł w Gdańsku ofiarowując miastu swój, liczący ok. 1300 dzieł księgozbiór. Zasoby biblioteki szybko rosły drogą darowizn i zakupów, tak że w XVII w. Biblioteka Gdańska liczyła już ponad 12 tys. tomów, ilością i jakością zbiorów górując nad innymi bibliotekami istniejącymi przy parafiach i klasztorach Gdańska.

20 bm. wejdzie do obiegu kolejny znaczek z serii Znaki Zodiaku - Skorpion. Nominał znaczka 1 zł, a 24 bm. Strzelec o nom. 2 zł. Seria 4-znaczkowa prezentująca malarstwo Stanisława Noakowskiego,

malarza, architekta, rysownika lat międzywojennych wejdzie do obiegu pocztowego 21 bm. Będą to znaczki o nominałach: 40 gr, 55 gr, 70 gr i 1 zł. Projektował serię, koperty FDC i datownik A. Balcerzak.

(t)

